

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie . . . . . Rs. 7 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 3 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 1 „ 75  
Miesięcznie . . . . . „ — „ 60

Za odnośnienie do domu  
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca  
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-  
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi  
i w Cesarstwie:  
Rocznie . . . . . Rs. 9 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 4 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 2 „ 25

Za Granicą:  
Rocznie . . . . . 12 guld. — 18 m  
Półrocznie . . . . . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-  
tor Redakcyi po kop. 10 za  
wiersz petitowy lub za je-  
go miejsce. Reklamy po  
kop. 25.

# GŁOS

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA  
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden  
zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Na mylnej drodze, przez J. L. P.—II. Pierwsze lata działalności Parnella, przez J. Książycę. — III. Pochodzenie szlachty, przez T. S.—IV. Nowy zwrot w nauce prawa, przez J. L. Popławskiego.—V. Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.—VI. Głosy. — VII. Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego. — VIII. Przegląd społeczny.—IX. Przegląd polityczny.—X. Kronika literacka.—XI. Kronika powszechna. — XII. Odpowiedzi od redakcyi — XIII. Ogłoszenia.—XIV. 9doinek: Wyszadzony z siodła, przez A. Sygietyńskiego. (Dokończenie).

### Od redakcyi.

W roku przysłym Głos wychodzić będzie w formacie nieco zwiększonym i drukowany nowymi czcionkami. Od Nowego Roku do każdego numeru dołączać będziemy osobny dodatek, w którym ukaże się powieść słynnego autora „W r. 2,000” Edwarda Bellamy'ego:

#### „Sposób D-ra Heidenhoffa,”

oraz inne beletrystyczne lub popularne utwory znanych autorów. W bezpłatnym dodatku książkowym „Głos” drukować będzie w kwartale pierwszym: „Instytucje kościelne” Herberta Spencera, poczem nastąpią: A. Herzena „Psycho-fizjologija”. Lester F. Warda „Wstęp do socyjologii dynamicznej (Prawa i czynniki postępu)”. Ribot'a „Filozofija Schopenhauera”.

W d. 21 grudnia nakładem redakcyi „Głosu” wyjdzie z druku nowe wydanie słynnej powieści Edwarda Bellamy'ego „W roku 2,000”, ozdobione portretem autora.

### Na mylnej drodze.

Przed paru miesiącami w korespondencyjach z Poznania podaliśmy kilka cyfr, dotyczących działalności Banku ziemskiego. Obecnie leży przed nami sprawozdanie z czynności tej instytucyi. Bank ziemski w dzielnicy pruskiej ma znaczenie doniosłe, fundusze jego, śmiało można powiedzieć, powstały z ofiarności publicznej, należy więc śledzić uważnie: czy i jak spełnia swoje zadanie.

Od początku usiłowano sprowadzić Bank z właściwej drogi i zrobić zeń instytucję, której zadaniem byłoby ratować od bankructwa własność szlachecką w Poznańskim

i Prusach zachodnich. Dano mu nawet z początku nazwę Banku „ratunkowego”. Pod naciskiem opinii publicznej i wskutek żądania akcyjonaryjuszów odstąpiono od tego zamiaru i ograniczono zakres działania do parcelacyi. Ale czynności Banku szły nader powolnie i dopiero zmiany w kierownictwie instytucyi popchnęły je nieco, chociaż dotychczas wszystko jeszcze dosyć opieszale się rozwija. Dodać trzeba, że wykreśliwszy z zadań Banku działalność filantropijną, kierownicy jego wpadli bodaj w drugą ostateczność i nadali instytucyi wyłącznie finansowy charakter. Dzisiaj niepodobna prawie dostrzedz, że Bank ziemski jest, bądź co bądź, instytucją pożytku publicznego, a przecie ci, co dawali pieniądze, ten cel przedewszystkiem mieli na widoku, nie zaś zyski od kapitałów.

Szczegółowy rozbiór działalności Banku, przekona czytelnika o słuszności naszego zdania.

W ciągu ubiegłego roku, Bank ziemski miał w „interesie parcelacyjnym” 424,561 marek, a więc mniej niż połowę kapitału. Od nabywców w ciągu tegoż roku odzyskał już 141,709 marek. Kapitał zaangażowany rozkłada się na 9 różnych interesów parcelacyjnych.

Wogóle dotychczas rozparcelował Bank 15 posiadłości, obszaru 2,708 hektarów, czyli około 10,800 morgów magdeburgskich. Właścicielami są tu 3 tylko większe posiadłości: Krużyny 828, Łosiniec—646, i Zamarte—348 hektarów. Do tej kategorii można bodaj jeszcze zaliczyć Nowy dwór — 270 hektarów. Dalej idzie kilka średnich folwarków, czy też części większych obszarów: Świniec—122 Białożewin—120, Maniewo—83, Ozorków—70, Nowy dwór—52, Szymborze—36 hektarów wreszcie posiadłości mniejsze: Siedlimowo—31; Łuszkowo—30, Nieżywiec—29, Kosuty—22 i Krzywiń—13 hektarów.

Mały rozmiar niektórych posiadłości nie oznacza wcale, jak to w pewnych pismach zaznaczono, że i „drobna własność stara się likwidować w drodze parcelacyi.” Te niewielkie nomenklatury są to zwykle części większych obszarów, jak bowiem sprawozdanie Banku zaznacza, prawie wszyscy właściciele,

sprzedawszy część, utrzymali się przy reszcie gruntów.

We wszystkich 15 parcelacyjach sprzedano dotychczas nabywcom 174 parceli, obszaru 1586 hektarów czyli 6,210 morgów magdeburgskich, za ogólną cenę 1,076,056 marek, co wynosi za morg 173 m. 28 fenigów. Można tu tylko zaznaczyć, że średnio komisya kolonizacyjna kupuje taniej, dla czego więc z chłopą polskiego należy brać drożej? Czy może dlatego, że ratuje on tę ziemię od germanizacyi.

Ale na podstawie tej cyfry nie chcemy formułować zarzutu, zwłaszcza że cena ziemi, przeznaczonej do rozparcelowania, wypadła o wiele taniej, bo wynosi tylko 114 marek za morg. Chociaż i tutaj nasuwa się pytanie: ile nabywca chłop do tej ceny dopłaci? Pytanie to nie jest bez podstawy, widzimy bowiem w sprawozdaniu taki oto znaczący szczegół:

Parcelacyja całkowicie była przeprowadzona na 6 gruntach, obszaru 392 hektarów, Cena minimalna, przez właściciela do sprzedaży podana, wynosiła 338,740 marek, Bank jednak osiągnął od nabywców 362,046 marek. Nadwyżką tą, która w danym razie wynosiła 23,291 m. Bank podzielił się po połowie z właścicielem.

Otóż, zdaniem naszym, parcelacyje tego rodzaju winny być stanowczo zaniechane. Nabywanie ziemi, zwłaszcza że Bank nie udziela kupującym pożyczek na długo-terminowe spłaty, w dzisiejszych, ciężkich dla rolnictwa w Prusach warunkach powinno być możliwie ułatwionem. Trzeba pamiętać, że nabywcy włościanie nieraz kupują grunta za pieniądze pożyczone, wszelka więc nadwyżka ceny prowadzi ich nieuchronnie do ruiny. Trzeba tu właśnie pamiętać, że Bank ziemski jest instytucją pożytku publicznego, a także i tego nie zapominać, że zadaniem jego—ułatwianie parcelacyi nie zaś dopomaganie właścicielom ziemskim, którzy do połowy dzielą się z Bankiem zarobkiem z krwawicy chłopskiej.

Ta zasada działania, którą Bank ostatecznie przyjął, sprzeciwia się jego zadaniu. Korespondent poznański *Słowa* pisze, że dotychczas „parcelacyję gruntów prawie wy-



łącznie przeprowadzali żydzi, a że na tem właściciele nie świetnie wychodzili, tego dodawać chyba nie potrzeba". Zapewne, że na pośrednictwie żydów i ci co kupowali, korzystali nie wiele, ale w danym wypadku nie o to chodzi, jak na danej operacji wychodzą właściciele, ale jak wychodzą nabywcy.

W tej dbałości Banku o właścicieli ziemi, nawet ze szkodą jej nabywców, widać po prostu zamaskowaną filantropiję na rzecz bankrutującej szlachty, idącą w parze z chęcią otrzymania możliwie największego zysku. W zwyczajnej instytucji finansowej chęć ta byłaby zupełnie normalną, Bank ziemski jednak, idąc tą drogą, na błędne wkracza tory.

A nie tylko w tym jednym punkcie zbacza na manowce. Z wykazu dochodów przekonujemy się, że oprócz parcelacji Bank zajmował się też regulowaniem hipotek, oraz pośrednictwem w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków. Na obu tych czynnościach zarobił nawet 1,993 i 585 marek, ale drobny ten zysk nie okupi szkody, jaką przynieść może odwracanie funduszy Banku i działalności jego kierowników od właściwego celu.

Widzimy również, że zbywające pieniądze lokował Bank w papierach publicznych, na czem źle wyszedł, bo stracił na różnicy kursu listów zastawnych 7527 marek, Trudno jednak zrozumieć, dla czego papiery z tak wielką stratą sprzedawał, jeżeli nie zaangażował w przedsiębiorstwo parcelacyjne znacznej części kapitału, którą trzyma w gotówce. Nie chcielibyśmy ubliżyć kierownikom Banku posądzeniem, że stratę tę spowodowały nieudane spekulacje na kursie papierów, ale szersza publiczność może to pomyśleć. Nie jedna już instytucja publiczna u nas w spekulacje takie bawiła się lub bawi, nie uważając nawet tego za rzecz zdrożną. Przykład *Tellusa* powinien być przestrożą dla kierowników Banku ziemskiego. Dodać tu trze-

ba, że po strąceniu strat i wydatków, dochód ze wszystkich operacji wynosił 38,375 marek, z czego wypłacono uczestnikom 4% dywidendy. Najważniejszą prawie pozycję dochodu, bo 20,423 m. stanowi dochód z parcelacji. Wolelibyśmy, a i większość akcjonariuszów podzieli zapewne nasze zdanie, żeby tej pozycji dochodu, oprócz zwrotu kosztów, wcale nie było.

Słowem, jako instytucja finansowa Bank ziemski prowadził wcale dobrze swe interesy, natomiast jako instytucja społeczna zбочył na mylną drogę, a jeżeli nawet nie odstępował od bezpośredniego swego zadania, to spełniał je nie tak, jak należy. Te błędy jego i zбочzenia trzeba tymbardziej uwydatnić, że pochwały, jakie większość prasy oddaje kierownikom Banku za działalność finansową, mogą ich zachęcić do kroczenia dalej mylną drogą, która zaprowadzi instytucję na manowce bądź szlacheckiej filantropii, bądź spekulacji.

J. L. P.

## Pierwsze lata działalności Parnella.

(ciąg dalszy).

### II.

Biggar uprawiał obstrukcjonizm w kwestyjach irlandzkich tylko, Parnell postanowił go stosować w sprawach angielskich. Postępowanie takie musiało naturalnie nabawić rząd wielu kłopotów, na każdym kroku miał on spotykać irlandczyków, przeszkadzających prawidłowemu funkcjonowaniu maszyny parlamentarnej. Działając w ten sposób, malańka grupa irlandzka nabywała większego znaczenia, zwłaszcza, że w poszczególnych wypadkach przyłączać się do niej mogli deputowani angielscy, niezadowoleni z danego projektu rządowego.

Polityka ta zainaugurowaną została w r. 1877. Mowom i wnioskom o odroczenie rozpraw Parnella i Biggara nie było końca, posiedzenia przedłużały się do ostateczności i nie wydawały

żadnego rezultatu. Już w kilka tygodni po zainaugurowaniu tej polityki, rząd zwrócił się do Butta ze skargą na „niektórych młodzieńców” z jego stronnictwa. Dodano do tego parę zręcznych komplementów dla Butta za jego „szlachetny szacunek dla godności izby”. Przywódzca stronnictwa irlandzkiego dał się tem ująć i rozpoczął z obstrukcjonistami walkę, w której poparła go większość stronnictwa. Od czasu do czasu jednak niektórzy irlandczycy, bardziej dbali o prawa swego kraju, niż o konwenanse parlamentarne, przyłączali się do dwóch przedstawicieli obstrukcjonizmu. Takimi byli przede wszystkim O'Connor Power i Frank O'Donnell, wybrani w r. 1877.

W d. 25 lipca tegoż roku, podczas rozpraw nad billem południowo-afrykańskim, doszło do gwałtownych starć grupki nieprzejednanych z rządem. Po kilku utarczkach, Parnell oświadczył w swej mowie, że „jako irlandczyk, jako człowiek pochodzący z kraju, który przecierpiał tyle wskutek wtrącania się angiłków do jego spraw, uczuwa szczególniejszą przyjemność w kępowaniu i niweczeniu zamiarów rządu względem tego billu”. Rozdrażnienie ogólne doszło do kresu. Zdaowało się izbie, że złapała wreszcie przebiegłego irlandczyka na nieostrożnych słowach. *Leader* torysów wniósł projekt zawieszenia Parnella w czynnościach prawodawczych do przyszłego piątku. Dopiero na trzecie wezwanie *speakera* podniósł się Parnell dla obrony. Mowa jego składała się z najzuchwalszych wyznań i najdotkliwszych przycinków. Izba była wściekłą i jednogłose prawie krzyki towarzyszyły Parnellowi, gdy, stosując się do zwyczaju, wychodził z izby, ażeby ta w jego nieobecności wydała nań wyrok. Udał się on na galerię i z wyżyny tego punktu obserwacyjnego, spoglądał chłodno na toczące się debaty. Gdy izba ochłonęła z pierwszego oburzenia, zaczęto się wahać przed użyciem środka, tak sprzeciwiającego się wolności parlamentarnej i przypomniano wreszcie, że Parnell mówił o zaiweczeniu zamiarów nie izby, ale rządu, co jest stałym i uprawnionym celem wszelkiej opozycji; wskutek tego całą sprawę postanowiono odłożyć do piątku. Parnell z wiernym Biggarem wrócił z galerii i rozpoczął dalszy ciąg swej mowy od miejsca, w którym mu przerwano.

W następnym piątek izba uchwaliła, że każdy poseł, wezwany dwukrotnie do porządku przez *speakera* lub prezydenta, zawieszony będzie do

33)

## WYSADZONY Z SIODŁA.

Powieść.

PRZEZ

Antoniego Sygietyńskiego.

(Dokończenie).

### ROZDZIAŁ VII.

— I chłop, psiakrew, jakem lunął w pysk, tak się nogami przykrył!—krzyczał Załogowski, przy stoliku w restauracyjce, w gronie czterech przyjaciół, równie jak on upadłych moralnie, którzy jednak nie zawsze w milczeniu przyjmowali jego kłamstwa i przechwałki.

— Co to się wynosić w górę, kiedy i tak nikt nie uwierzył!...

— Słuchaj!... A jeżeli ci powiem: jak Boga kocham?...

— Al... Chyba!...

— Widzisz!... Zresztą, za cóżbym siedział na odwachu w Sieradzu?... Chłop podał do sądu skargę i skazali mnie. Alboż ja wiedziałem, że takie czasy nastały?... Słyszane to rzeczy, żeby szlachcic nie mógł zbić chłopca!... Dziękuję za takie prawal!...

— Trzeba było ręce trzymać przy sobie!...

— Dziś to ja i bez ciebie wiem o tem, ale wtenczas, Panie święty, miało się jeszcze rozmach!...

— Jócha! Jócha! daj nam tu cztery kufelki!...

— Ho! ho! sąsiad dziś znowu podskubał córeczkę! — przymówił jeden z towarzyszy, chudy, łysy, z małemi, czarnemi oczkami w wytartym, świecącym się, obcistym, zapiętym na wszystkie guziki, ale czarnym tużurku, z pod którego wyglądał brudny kołnierzyk od koszuli.

— Tylko bez przymówek, panie *naczelnikul*... Skąd mam pieniądze, to mam, ale stawiam i płacę!

— A ja, to może nie stawiam?!

— Dajcie panowie pokój!—wtrącił trzeci towarzysz, kończąc z pośpiechem piwo.—Lepiej pić, niż się bić!

— Nie prawda!... Dla mnie wszystko jedno: kiedy pić—to pić, kiedy bić—to bić!...

— Myślałby kto, że taki zuch!... A mnie mówili, że to wszystko bajka!—rzucił czwarty towarzysz, opasły, z twarzą nabrzekłą, z jasnymi niebieskimi oczyma, w których malowała się jowialna dobroduszość.

— I to ty tak mówisz?!... Tyl mój przyjaciel, który najlepiej powinien wiedzieć!

— Wiem tylko tyle, coś ty mi sam opowiadał!...

— Zaraz cię przekonam!... Jóźka! Czy to piwo będzie dziś czy nie?

— A jak nie, to co?—odpowiedziała obojętnym, znużonym głosem kelnerka, stawiając pięć kufelków piwa na stole.

— To cię każę wyzłocić!

— A śliczny *dziędzić* z takim wyrazami!...

Pańskie wychowanie!... Rzeźnik by się wstydział w towarzystwie kobiet tak mówić!... I to się nazywa obywatel!

— A jakże chcesz, żebym się inaczej nazywał, kiedy jestem obywatelem?

Kelnerka, stara, zniszczona, wyróżowana, z podczernionemi oczyma, nachyliła się do ucha Załogowskiego i powiedziała pociachu wyraz, tak jednak, że wszyscy słyszeli.

— Brawo, Jócha!... Panowie!... Piję za jej zdrowie!...

— Tylko proszę mnie nie przezywać po swojemu, bo ja tego nie lubię! Wcale nie jestem taka, jak panom się zdaje!

— Piję za jej zdrowie — zawołał Załogowski—choć mi despekt przyniosła!... Zdrowa dziewczka!... Masz!... Umocz gębę w moim kufku, kiedyś taka dzielna!... Żebym był młodszyszy, tobym się z tobą ożenił!... Lubię harde kobiety!... Mściwy nie jestem i o byle co się nie obrażam!...

— No, a jak ci zaprzeczają godności?

— Zapytaj się Marka Dakoszyńskiego, a on ci powie!

— Tego krawca z Tamki?

— Tego, tego, jak Boga kocham!...

— Ech! to łgarz!...

— Łgarz on nie jest—odparł Załogowski—ale świni!...

— Czy za to, że ci nie chciał pożyczyc pieniędzy?

— Jaktó?!... Alboż to mało?... Przychodzę



końca posiedzenia, oraz że na każdym posiedzeniu można jeden raz tylko stawić wniosek o odroczenie rozpraw. Przepisy te nie mogły przeszkodzić taktyce obstrukcyjnistów i już w parę dni później, garstka nieprzejednanych przeciwników rozprawy nad tym samym billem afrykańskim do 26 godzin (od 12 w dzień we środę do 2 popołudniu we czwartek). Zachowanie się Parnella i towarzyszy wzbudzało powszechne oburzenie wśród anglików. Butt potępiał je również surowo i utrzymywał, że, jeżeli lud irlandzki pochwali taktykę Parnella, wycofa się z polityki, jako z „ordynarnej burdy”.

Entuzjastyczne przyjęcie zgotowane Parnellowi i Biggarowi w Dublinie (w sierpniu tegoż roku), przekonywało, że w Irlandyi powstaje prąd, niechętny dotychczasowemu zachowaniu się posłów irlandzkich w parlamencie. W styczniu 1878 r. Butt zwołał do Dublinia zgromadzenie ogólne i postawił wyraźnie kwestyję przyszłej taktyki parlamentarnej. Zdaniem jego należało zniewolić bezstronnych anglików do zajęcia się kwestyją dobrego rządu dla Irlandyi, wówczas przekonają się oni, iż nie ma innej rady nad udzielenie samorządu i sprawa będzie wygrana. Parnell odpowiedział na to, że nie sądzi, iżby izba gmin składała się z bezstronnych anglików, że, przeciwnie, zasiadają tam ludzie, stawiający interes swych organizacji stronnicych po nad wszelkie inne względy. Zgromadzenie dnblińskie nie przyszło do określonego rezultatu. Przewodnictwo powierzono nadal Buttowi, zastrzeżono jednak większą swobodę oddzielnych członków stronnictwa i wyrażono życzenie polityki energiczniejszej.

Nie długo już potem trwał przywództwo Butta. W r. 1878, podczas gorących napasli opozycji na rząd z powodu kwestyi wschodniej, widziano go w pośród najzapaleńszych zwolenników ministerjum, w pośród najzagorzalszych szowinistów (czyli *gingees*, jak ich nazywają w Anglii). Opinią publiczną coraz wyraźniej skłaniała się na stronę Parnella. Irlandzcy, zamieszkali w Anglii, wybrali tego ostatniego na prezydenta swej ligi *Home Rule*. Subskrypcja narodowa na rzecz Butta niepowiodła się. Kres upokorzeniom położyła rychła śmierć (5-go maja 1879 r.). Parnell nie miał już w szeregach irlandzkich godnego siebie przeciwnika.

Stronnictwo *home-rulerów* nie wyznaczyło następcy Butta, wybrało ono tylko Shaw'a na prezesa na przeciąg jednej sesyi parlamentarnej.

Zręczny ten praktyk nie mógł przeciwdziałać wzrastającemu wpływowi Parnella. Rząd i izba przyznały już jego znaczenie. Gabinet, który w ciągu czterech lat naigrawał się z grzecznej i nieszkodliwej polityki Butta, uznał za konieczne zrobić małe ustępstwo Irlandyi i wniósł prawo o szkołach średnich. W tymże czasie izba utworzyła komisję dla zbadania obstrukcyjizmu i powołała na jej członka Parnella. Ważniejsze jednak sprawy zaprzętnąć go miały wkrótce.

Prawo agrarne z r. 1870 nie wydało pożądaných owoców. Opracowane w Anglii i przez anglików, nosiło ono fatalne piętno swego pochodzenia i zdradzało zupełną nieznajomość stosunków miejscowych. Nie tworzyło ono żadnej tamy przeciw nadmiernym cenom dzierżawnym (czyli t. zw. *rencie torturowej, rackrent*), nie uwzględniało bowiem tego, że dla większości chłopów działki ich są jedynym środkiem do życia. Braki tego prawa uwydatniały się coraz mocniej, aż wreszcie zawitała znowu straszna klęska głodowa: kartofle, ten główny artykuł żywności irlandczyków, uległy znowu tej samej co w roku 1846 chorobie. Urodzaj ich w r. 1879 wynosił nie wiele co więcej nad 1/3 zwykłej normy. W analogicznych okolicznościach, landlordzi angielscy udzielali wszelkich ulg swym dzierżawcom. Inaczej działo się w Irlandyi. Shylock wymagał nielitościwie należnego mu funta żywego mięsa. Przekonywa nas o tem statystyka przymusowych wypędzeń fermerów. W r. 1876 uskuteczniło takowych 1,269, w r. 1877—1323, w r. 1878—1749, w r. 1889—2667! Rząd zachowywał zupełną obojętność wobec klęski irlandzkiej i zmusił przez to niejako Parnella do przystąpienia do Ligi agrarnej.

Twórcą tego stowarzyszenia, które miało odegrać taką decydującą rolę w dziejach Irlandyi, był Michał Davitt. Był on synem chłopskim i wspomnienia jego pierwszego dzieciństwa łączyły się z wyrzuceniem jego rodziców z fermy, która stanowiła jedyne ich utrzymanie. W roku 1870 Davitt, jako 24 letni młodzieniec, skazany został za udział w ruchu feniańskim na 15 lat robót ciężkich. W końcu roku 1877, po 7 latach i 7 miesiącach cierpienia, został on uwolniony warunkowo. Długie więzienie nie osłabiło jego uczuć. Natychmiast po odzyskaniu wolności udał się on do Ameryki, gdzie porozumiał się z Devoy'em, jednym z przywódców stronnictwa irlandzkiego w Ameryce. Człowiek

ten wydał właśnie manifest, wykazujący bezowocność dotychczasowych działań rewolucyjnych, i zachęcał do agitacyi konstytucyjnej. Davitt podzielił te zapatrywania i postanowił się poświęcić legalnej agitacyi agrarnej.

W dniu 20 kwietnia 1879 roku zawiązał on wraz z Brennanem na mityngu w Irishtown, w hrabstwie Galway—ligę agrarną<sup>1)</sup>. Założyciele byli jednak ludźmi mało znanymi i jeden tylko człowiek miał tyle wpływu, żeby rozszerzyć nowe stowarzyszenie. Tym człowiekiem był Parnell. Do pewnego stopnia można się było z góry spodziewać jego solidarności. Czyż bowiem nie nowy duch, stworzony przez niego, obudził chłopą irlandzkiego z wiekowej apatyj i czyż nie duch ten zamienił spazmatyczne wybuchy na stałą i cierpliwą działalność organizacyjną. Parnell długo się jednak wahał z przystąpieniem do ligi. Widmo głodu zdecydowało go. Trzeba było rozstrzygnąć, czy lud irlandzki ma znowu kląć się w mogiły z ponurą rezygnacją, czy też wystąpić do walki z władcami, których chciwość zwiększała jego cierpienia. Parnell przyłączył się do ligi naprzód dla obrony ludności wiejskiej od klęski głodowej, po drugie zaś dla przygotowania rozwiązania kwestyi agrarnej, które, zdaniem jego, nie mogło być inne nad przejście ziemi landlordów w ręce rolników.

Na pierwszym mityngu agrarnym, w którym wziął udział (w czerwcu 1879 r.), Parnell wynalazł formułę ruchu, albo raczej rzucił hasło: *Trzymajcie się mocno waszych ziem*, które znalazło odgłos w całej Irlandyi i mówiło więcej niż cały wypracowany plan ligi. Dzięki energicznemu rzutowi Parnella ruch przybierał coraz szersze rozmiary. Prasa angielska bez różnicy stronnictw zaniepokoiła się i wzywała rząd do stłumienia ruchu. Davitt i Brennan zostali aresztowani, lecz wkrótce musieli być uwolnieni i w październiku liga ostatecznie zorganizowana została w Dublinie. Zaraz potem wyjechał Parnell do Ameryki dla zebrania pieniędzy. Podróż jego, którą odbywał wraz z Dillonem, by-

<sup>1)</sup> Poprzednio istniało już w Dublinie „Stowarzyszenie obrony fermerów”, którego program streszczał się w sławnym żądaniu *trzech F*, t. j. *fixity of tenure* (stałość dzierżaw), *free sale* (wolność odprzedawania ferm) i *fair rent* (sprawiedliwe renty). W hrabstwie zaś Galway istniało lokalne „Stowarzyszenie obrony fermerów z Ballinastve”, które stało się niejako zawiązkiem ligi.

do niego, jak do równego, i mówię mu, że jestem cokolwiek w potrzebie, i wiecie, panowie, co mi powiedział?...  
— No, no, cóż?

— Społeczność żebraków nie potrzebuje; idź pan pracować na chleb, jak ja, a wylizasz się z biedy — dopowiedział Załogowski płaskim, pogardliwym głosem, przedrzeźniając krawca.

— I cóż-eś ty na to?

— A cóż?... Chciałem lunąć w pysk, alem się namyślił, że szkoda ręki na takiego durnial... — huknął pełną piersią, uderzając z prawdziwym zapalem w stół, aż kufelki ze szczękiem podskoczyły na ciężkich, fajansowych podstawkach.

— Niech *dziedzic* się tak nie rozbija, bo *drugie goście* będą się na mnie gniewali!—zawołała z za bufetu, z po za słoików z ogórkami, korniszonami i śledziami, właścicielka małej restauracyjki o dwóch izbach, na Krakowskim-Przedmieściu, wprost kościoła św. Krzyża, z której, w tej chwili właśnie, wychodziło dwóch czy trzech mężczyzn niepozornie ubranych, co ją zaniepokoiło, a przynajmniej ze stanu półdrzemki wyrwało.

— Głupstwo! Józka! Pięć kufli piwa!... Musimy wypić za zdrowie naszego zucha!—zawołał towarzysz, zwany naczelnikiem.

— Dziękuję cił... Dzielnym z ciebie chłop!... Daj pyska! Kocham cię, chociaż się mnie obraził tem powiedzeniem, że córkę podskubuję, bo to nieprawda, jak pragnę zbawienia duszy!

I obydwaj przyjaciele rzucili się sobie w ramiona. Zresztą na tym stopniu podniecenia, w jakim znajdowało się towarzystwo całe, dzielność i czułość ujawniają się nagle, nawet bez żadnego powodu. Jeszcze jeden, dwa kufle, a już zacznie się depresja. Po czynach bohaterskich, dokonywanych w wyobraźni, nastąpią gorzkie refleksyje życia. Fantazyja ustąpi miejsca rzeczywistości; prawdziwy charakter weźmie górę nad wyrazem przelotnym temperamentu, i upadek moralny wyjdzie na wierzch.

— A ze mną się nie pocałujesz—odezwał się towarzysz z jowialną twarzą, zwany radcą, przypominając sobie nagle, iż przed chwilą rozgniewał Załogowskiego.

— Niel... Z tobą się nie pocałuję, boś ty mnie dotknął w to miejsce, które mnie najbardziej bolil...

— Pokaż to miejsce, a pocałuję cię...

— Głupiś!... Jak to można nie wierzyć człowiekowi, który nigdy nie kłamał... Czy zła-pał mnie kto kiedy na kłamstwie?!

— Żaden z nas cię nie widział.

— Słuchaj *sędziol*... Bo z tamtym nie chcę mówić!... A jak wam przysięgnę na tę rękę Pana Jezusa, którą w tej chwili widzę, że ani słowa nie kłamię, czy jeszcze mi nie uwierzycie?!

Nastąpiła chwila milczenia. Całe grono wykojonych bezwiednie odwróciło głowy w stronę szerokiego, weneckiego okna, na którego

małych szybkach drżały tylko złotawe refleksy dwóch lamp, wiszących w izbie u sufitu. Przez to okno Załogowski w wyobraźni zobaczył nagle postać Pana Jezusa, który, po drugiej stronie ulicy, pod kościołem Św. Krzyża, stoi z wyciągniętą ręką—i na tę rękę się powołał. Nikt mu nie zaprzeczył, choćby tylko dlatego, że każdy z tych radców, naczelników, sędziów, sekretarzy, w podobnym wypadku byłby się uciekł do tego samego zwrotu retorycznego, wierząc, chwilo-wo przynajmniej, w prawdziwość swojego widzenia.

Na dnie duszy każdego człowieka, który tylko z powodu wypadków, warunków zewnętrznych, nie zaś z natury usposobienia, stał się szuja, drzemie do końca życia bodaj cząsteczka tego wielkiego, pierwotnego uczucia, które w przeszłości pędziło go na drogę ideałów, i w pewnych chwilach się nagle, choć przelotnie budzi. To też, kto wie, czy Załogowski, w tej chwili właśnie, kiedy piwo i wódka podnieciły jego wyobraźnię, a wspomnienie zszumowało na chwilę męty życia z wierzchu duszy, nie uczuł się istotnie dotkniętym cyniczną uwagą, z cynicznego serca pochodzącą—nie obraził się jako człowiek.

— Zgoda, panowie szlachta! Co macie się kłócić o głupie słowa!... Niech żyje Załogowski!

— A zresztą, nie będę się przysięgał! Cóż to—krzyczał Załogowski, bijąc znów pięścią



ła jednym pochodem tryumfalnym. W Waszyngtonie izba przedstawicieli, gwałcąc w niesłychany sposób własny regulamin, zaprosiła „deputowanego Irlandy” do wypowiedzenia mowy podczas posiedzenia. Finansowe rezultaty były niemniej świetne. Parnell przywiózł 72,000 f. st. (około pół miliona rs. w złocie) z prawem użycia ich na pomoc głodnym, lub dla organizacji walki agrarnej.

Jeszcze bawiąc w Ameryce, otrzymał Parnell w marcu 1880 r. wiadomość o niespodziewanym rozwiązaniu parlamentu. Na wieść tę pospieszył do kraju i na 10 dni przed wyborami stanął na czele agitacji wyborczej. W tym krótkim przeciągu czasu wykazał on gorączkową działalność. Szczególniej dawał się uczuć brak funduszy, ponieważ liga zadecydowała, iż dla nieściągnięcia podejrzeń nie przyjmie udziału w kosztach wyborczych. 31,250 franków, z których 25,000 pochodziło z pożyczki, zaciągniętej pod osobistą odpowiedzialnością przez Parnella, stanowiły cały fundusz rozporządzalny. Takie ubóstwo zmusiło poniekąd Parnella do mniejszej surowości w stawianiu kandydatur. Sam Parnell, pomimo nieprzyjaznych warunków, wyszedł zwycięsko z urny w Cork, wogóle zaś wybrano 68 *homerulerów*, liczbę jednak ostatnią należałoby znacznie zmniejszyć, żeby otrzymać ilość prawdziwych parnelistów. Wybory w Anglii dały przeważną większość liberalom, to też władza przeszła w ręce Gladstone'a. Ponieważ przed wyborami Disraeli ogłosił list, irlandczykom nieprzychylny, wszyscy więc irlandczycy w Anglii podawali głosy przeciw torysom i, niestety, zawiedli się wkrótce w swoich nadziejach. Parnell rozczarowania nie doznał, od początku był on przeciwny temu ślepemu porywowi. Wiedział on, że wdzięczność w polityce nie gra żadnej roli, że interes jest tu jedyną sprężyną. Wolałby przeto zamiast przeważającej większości liberalów widzieć dwa równo silne stronnictwa angielskie, tak żeby poparcie narodowców było koniecznym warunkiem utworzenia większości.

Co się tyczy samego stronnictwa irlandzkiego, nie było ono jednorodne. Jedni, zwłaszcza młodzi, zapaleni, nieznanymi widzieli w deputowanym z Corku naturalnego przywódcę i przedstawiciela żądań irlandzkich. Inni, roztrośniejsi, czy też mniej szczerzy, chcieli mieć za przywódcę Shaw'a. Na zgromadzeniu w Dublinie za wodza uznano Parnella większością 23 głosów przeciw 18. Mniejszość uznała wprawdzie formalnie

wybor większości, niebawem jednak zaczęła widocznie ciążyć ku liberalom angielskim. Zaraz już po zebraniu parlamentu okazała się różnica poglądów. Shaw wraz ze swymi stronnikami zasiadł po prawicy wśród większości, Parnell pozostał na lewicy, otoczony torysowską opozycją. Anglicy zachwyceni byli tym podziałem, bo sądzili oni, że dwa te stronnictwa irlandzkie będą się wzajemnie paraliżować.

Gabinet Gladstone'a przychodził do władzy bez żadnego programu w kwestyi irlandzkiej. Mowa tronowa zawierała też wzmianki o Afryce, Afganistanie, Indyjach, nie było w niej jednak wzmianki o Irlandyi. Parnell uważał za konieczne rozpocząć walkę odrazu, podczas obrad nad adresem do tronu i wystąpił z poprawką, stawiającą jasno kwestyję agrarną. Shaw i jego stronnicy byli przeciwni temu, dbali oni więcej o niesprawienie kłopotu rządowi liberalnemu, niż o prawa i cierpienia Irlandyi. Podczas tych rozpraw Parnell wystąpił po raz pierwszy, jako *leader* stronnictwa. Izba przyjęła go niezyczliwie. Porównywano jego nieroztropną gwałtowność z zrzeczeniem i poprawnym umiarkowaniem Shaw'a. Przepowiedano z góry, że karyjera Parnella, jako następcy Butta, nie będzie długotrwałą i że będzie on musiał ustąpić miejsce Shaw'owi, człowiekowi praktycznemu, szanującemu wszelkie konwenanse. Nie znano oczywiście ani charakteru Parnella, ani składu jego grupy.

Istotnie, wszyscy niemal wybitni przedstawiciele Irlandyi stali po stronie Parnella. Na ich czele wymienić musimy Justyna Mac Carthy<sup>2)</sup>, znakomitego dziennikarza, historyka i powieściopisarza. Człowiek ten mógłby śmiało ubiegać się o godność poselską w Anglii, wolał on jednak oddać się na usługi własnej swej ojczyźnie. Dalej widzimy Tyn. Sullivana, zdolnego poetę, twórcę hymnu narodowego irlandzkiego<sup>3)</sup> i hymnu emigrantów, oraz piewcy walki agrarnej. Do ich liczby należeli też najwymowniejszy z *homerulerów*, Sexton, Artur O'Connor, O'Kelly i John Dillon. Ten ostatni stał się później także prawie drogim dla serc irlandzkich, jak sam Parnell. Przyjmował gorący udział w walce agrarnej i on to w jesieni 1886 r. obmyślił

<sup>2)</sup> Obecnie jest on przywódcą antyparnelowskiej grupy irlandczyków.

<sup>3)</sup> Hymn ten, znany pod nazwą *God save Ireland*, opiewa śmierć trzech fenian, straconych w Sheffieldzie.

sławny *plan kampanii*. Nieco później w gronie tych mężów zasiadli Tomasz Healy, były sekretarz Parnella i William O'Brien, dziennikarz i powieściopisarza<sup>4)</sup>.

(Dok. nast.)  
J. Książę.

## Pochodzenie szlachty.

### III.

Za przykład tego rodzaju starożytnej adaptacji może służyć ród Rawitów. Rawici, z czeskiego rodu Werszowców, przybyli do Polski za Bolesława Krzywoustego, używają herbu o temacie runicznym, którego nie mogli przywieźć z Czech, gdyż tam runy były zupełnie nieznane. Temat zaś ten odnajdujemy jako znak chorągiewny rodu Lubomlitów, a że znak chorągiewny był tak dalece własnością rodu, iż nawet król nie mógł go nadać obcemu bez zezwolenia rodu, więc Werszowcy zostali adoptowani przez Lubomlitów. Za dwóch ostatnich Jagielonów i za Stefana Batorego zanika zwyczaj nadawania pogoni nowo-kreowanej szlachcie, natomiast zjawiają się nowe formacje herbów. Zygmunt Stary nadał pogon trzy razy, Zygmunt August dwa razy, a Stefan Batory tylko jeden raz. Że jednak odczuwano w wypadkach formowania nowych herbów sprzeczność z dawną tradycją, widzimy ztąd, że nowo-kreowane rody starają się usilnie o adaptację i chętnie zamieniają nowe herby na stare. Za przykład służy tu znowu Tretko, niegdyś mistrz zboru kalwińskiego w Krakowie, który, uzyskawszy w r. 1580 od króla Stefana szlachectwo oraz herb: trzy białe księżycy w polu niebieskim, stara się o adaptację u Firlejów, przez których zostaje przyjętym w 1581 r. do rodu i herbu. Ciekawem i niezmiernie charakterystycznym jest to miejsce przywileju Firlejów, w którym za motyw adaptacji jest podane, że „rzeczpospolita nasza ma pewną ściśle oznaczoną liczbę rodów, do których w tem królestwie prawa szlacheckie całkowicie należą.

To przekonanie, że stare rody szlacheckie, z dynastyją panującą na czele, stanowią zamknięte

<sup>4)</sup> Dziś bardzo wielu z tych ludzi porzuciło Parnella dla tego, żeby nie zrywać z Gladstonem.

w stół—nie ma już tych co widzieli, Panie święty, że ze mną żartów nie byłol... Jeden tylko mały chłopiec, którego kochałem jak syna, taki, jucha, dzielny był, potrafił to samo co i ja! Prawdziwie był z mojej szkoły!... Kiedy bić, to bić—a kiedy pić, to pić!... Pić mu, co prawda nie pozwalałem, bo jeszcze smarkacz był, ale co za dziewczynami, to nie zabraniałem mu latać, bo w potrzebie się zawsze stawał!

— No! a sam dziedzic, jakżeż z tym interesem?

— Co tam wam gadać o tem!... Nawet byście nie uwierzyli!...

— Jeżeli wierzymy w jedno, to dla czegoż nie mielibyśmy uwierzyć w drugie?

— To wam się przyznam!... Byłem wprawdzie już żonaty i kochałem żonę, jak świętą, jak anioła, prosto z nieba na moje szczęście zesłanego; ale czy to człowiek się ostoi, jak tu brunetka czy przewraca, tam blondynka się mizdrzy, ta się uśmiecha, a tamta kiwa na człowieka?... Co prawda, ze wszystkich tylko ten mały Józiek miał takie szczęście, jak ja... Ten jeden był mnie wart!... To też, po nim jedynym tylko takim płakał, jakbym syna, jakbym rodzony brata stracił, choć był tylko synem ekonoma z Proszowskiego czy ze Stopenickiego, bo już nie pamiętam!... Józka! Pięć kufli, psiakrew, bo mnie ogień spalił!

— Dosyć piwa na dziś! — odpowiedziała Józka.

— Dawaj!... Mam pieniądze, jak Boga kocham!

— Nóżki na stół!...

— Ile się należy?

— Cztery wódki i cztery kawałki śledzia— trzydzieści kop.; a piwo, jak panowie płacą?

— Ja płacę cztery kolejki.

— Dwadzieścia kufelków piwa — rubel, to razem osiem złotych groszy dwadzieścia.

— Taniej nie będzie?

— Jutro będzie taniej.

— Masz tu rubel kopiejek trzydzieści, a tu dwadzieścia pięć na świeżą kolejkę i pięć kopiejek dla ciebie na szpilki: razem, jak obczył, rubel sześćdziesiąt kopiejek.

— Ja płacę za swoje. Ile się odemnie należy?

— I ja też zaraz zapłacę!

— I ja też.

— I ja też. Dosyć na dziś tego dobrego, bo jak się jeszcze Załogowski na nowo rozmacha, to nie tylko „las będzie drżał”, ale głowy zaczną spadać, jak makówki!

— Ty mnie nie przedrzeźniaj, kiedyś mnie nie wart w piętę pocałować! Cóż ty umiesz?... Spać w nocy pod pierzyną, a w dzień piórkem gryzmolić!... Ale co tam!... Po jednym kufle jeszcze wypić musimy.

— Ha! trudno; kiedyś już zapłacił, to na twojem stać się musi. Panowie! pijemy za zdrowie naszego kochanego, dzielnego Załogowskiego... <http://rcin.org.pl>

— Niech żyje i pije!

— Za zdrowie Załogowskiego, ale duszkiem, bo mi się spieszył... Żona mi łeb urwie!

— Wiwat i do domu!

— Niel! Zostańcie jeszcze chwilkę! Opo wiem wam, jak raz koń pode mną padł!

— Ja to już umiem na pamięć.

— Ale Kalikst nie słyszał.

— Słyszałem, słyszałem... Chodźmy do domu!

— Ja jeszcze zostanę!... Dziś nie ma tego paskudnego teatru!... Człowiek może sobie cokolwiek swobody pozwolić.

— To się zostań kiedy chcesz, ale my idziemy.

— Panie sekretarzu! Chwileczkę tylko!... Opowiem w krótkości!

— Ja jutro muszę być w biurze o ósmej.

— Ja nigdy dłużej nie siedzę, jak do jedenastej.

— Kalikst, przyjacielu, zostań się ze mną!... Nie idę dziś do teatru!...

— Nie mogę!... Dobranoc!

— Dobranoc! Dobranoc.

I wszyscy, wyczałowawszy Załogowskiego w oba policzki, w usta, w szyję, gdzie kto mógł, wyszli z restauracji.

Było już po jedenastej. Oprócz Załogowskiego nikt nie został się w pokoju przy bufecie, a i w salce bilardowej dwóch jakichś tylko młokosów grało w bilard. Głuchy szcęk kul przerywał milczenie, jakie zapanowało po wyjściu całego grona wykolejonych.



koło, do którego nie można dostać się w inny sposób, jak drogą adoptacji, zdaje się wskazywać na to, że szlachta ówczesna uważała siebie za organizację, opierającą swoje przywileje na związkach rodowych, na wspólności pochodzenia od jednego pnia, którego udziałem te przywileje stały się niegdyś przed wiekami i do którego trzeba się przyłączyć drogą przysposobienia, żeby móc z tych praw i przewag korzystać na równi z innymi. Gdyby szlachta formowała się tylko drogą rozwieleniania się pojedynczych jednostek z pospolitego ludu, to, powiada autor, o takim zamknięciem kule rodów szlacheckich mowy by być nie mogło.

Droga, jaka poprzednim rodowi służyła do wzniesienia się wyżej na stopień szlachecki, byłaby i dla każdej następnej rodziny otwartą i nie byłoby potrzeba wcale adoptacji, która się wobec tego przedstawiała, jako niczem nie wytlómaczona formalność. Tak było rzeczywiście, dodajemy ze swojej strony, ale było tylko w przekonaniu szlachty XVI wieku, która, dumna ze starożytności rodów swoich, z lekceważeniem spoglądała na tych „nowych ludzi”, co się za sługami klejnotu szlacheckiego dobijali. Nie można się też dziwić, że ci nowi ludzie śpieszyli zatrzeć za pomocą adoptacji ślady swojej „nowości”, ale nie należy też wyprowadzać z brzmienia przywileju firlejowskiego przedczesnych, według naszego przekonania, wniosków o ścisłe rodowej organizacji szlachty polskiej za Piastów.

Jeżeli szlachta polska nie powstała drogą podnoszenia się pojedynczych jednostek ludu polskiego, tylko szła po krwi, po rodzie, jeżeli pochodzi ona od dynastji książęcych i reprezentuje rozrodzone potomstwo młodszych linii tych dynastji, to zostaje, według autora, jeszcze tylko odpowiedzieć na pytanie, jakie to są dynastje, od których cała szlachta nasza swój początek bierze.

Są to, brzmi odpowiedź, dynastje Piastowiczów i Popielidów. Szczep lechicki dzieli się na trzy grupy: polaków, lechitów zaodrzańskich (lutyków, obotrytów, rujan) i pomorzan. Dynastja książęca ukazuje się najwcześniej u lechitów zaodrzańskich. Kroniki zapisują pod rokiem 789 poddanie się Karolowi Wielkiemu księcia lutyków Dragowita i książąt obotryckich Wilczana i Dragana. Te dwie dynastje muszą, według przekonania autora, pochodzić koniecz-

nie od wspólnego praojca, który nie mógł nazywać się inaczej, jak Dragiem, a to na tej podstawie, że imię to jest częstem w obydwóch dynastjach i że dawne rody mają swoje szczególnie upodobane imiona, których często używają. Wspominanych przez kronikę w tem samym miejscu ceteros sclavorum primores (reszta słowiańskich magnatów) uważa autor za młodszych dynastów, nie posiadając żadnego dowodu dla poparcia tej hipotezy. Dynastja Dragów urywa się w połowie IX wieku u lutyków i obotrytów na Gostomyśle i Tabomyśle i przez cały blisko wiek nie ma o niej żadnej wiadomości. W drugiej połowie X wieku ukazuje się znowu w rocznikach cały szereg książąt słowiańskich, gdzie imię Draga znowu powraca w różnych postaciach (Cedrag, Anadrag etc.); jest to więc dalszy ciąg tejże samej dynastji. Na początku IX wieku panuje u polan dynastja Popielidów o której nie posiadamy bliższych wiadomości.

Aż do XII wieku nie spotykamy dynastji książęcych u innych lechitów, jak tylko u polan z jednej strony i u lutyków i obotrytów z drugiej. W tym wieku dopiero zjawiają się cztery osobne dynastje książęce: książąt rujskich obotryckich, którzy się dzielą potem na trzy linie — książąt meklemburskich, rostockich i wrzeskich; dynastja pomorska zachodnia, i wreszcie dynastja Pomorza gdańskiego. Na najstarszych pieczęciach wszystkich tych domów książęcych widzimy jeden wspólny wszystkim herb — Gryf. A że wspólność herbu, jak było wyżej dowiedzionem, jest dowodem wspólnego rodowego pochodzenia, więc wszystkie te dynastje pochodzą niewątpliwie od jednego rodu; autor nazywa go rodem Gryfitów. Opierając się na skandynawskiem znaczeniu wyrazu drag (smok) i na niewątpliwie dla siebie tożsamości smoka z gryfem, które to dwa potwory, jakkolwiek pierwszy zbliża się więcej ku typowi płaza, gdy w drugim, przeważa typ czworonoga, posiadają wiele wspólnego i występują nieraz w takich postaciach, że trudno jest odróżnić jednego od drugiego — opierając się na tych dwóch podstawach, autor odnajduje w późniejszych Gryfitach dawny ród Dragów, wzmocniony i rozrodzony, panujący nie tylko w swojej dawniej ojczyźnie, ale i na sąsiednim Pomorzu. Jeżeli dotychczas nacią przewoźnią, po której postępowało rozumowanie autora, było nie dające się zaprzeczyć, choć bardzo niepewne podobieństwo imion i wspólność herbu,

to z chwilą przejścia do Popielidów i Piastów i ta nie w zupełności go opuszcza. Ze Popielidzi i Piastowicze są w przekonaniu autora dalszym ciągiem, czyli raczej pewnymi odłamami Gryfitów alias Smoków czyli Dragów, to oczywiście, ale argumenty, służące mu do poparcia tak śmiałego twierdzenia, są mniej niż dostateczne. Czyż można przypuścić, pyta autor, by skoro wszystkie ludy szczepu lechickiego tradycyjnie przez kilka wieków biorą sobie książąt tylko z prastarej dynastji Dragów, jedna dynastja Popielidów, która się prawie jednocześnie z dynastjami lutyków i obotrytów pojawia, miała być innego pochodzenia? Wobec zupełnego braku dowodów, jesteśmy zmuszeni odpowiedzieć na to pytanie, że można. Jak u lechitów zaodrzańskich rozwinęła się swojska dynastja książęca, którą autor Dragami nazywa, tak mógł również u polan z nad Warty powstać ród książęcy, nie mający nic wspólnego z owymi Dragami. Uważając pochodzenie Popielidów od Dragów za niewątpliwie, nie znajduje autor żadnej trudności w przyłączeniu do tegoż gniazda książęcego Piastów. Licząc od Mieszka I wstecz, i przyjmując po 33 lat na każde pokolenie, otrzymujemy wraz z autorem, że ojciec Piasta Chocimir przypada na początek IX wieku, a więc mniej więcej na epokę wędrówki pokoleń nadłabskich do Polski, ów Chocimir należy prawdopodobnie, według autora, do pocztu młodszych dynastów, którzy pod dowództwem seniora Popielidów przybyli do Polski z nad Łaby na schyłku VIII stulecia.

Ze tego rodzaju migracja z nad Łaby jest możebną a nawet ma za sobą pewną dozę prawdopodobieństwa, przeczyć nie będziemy, tym bardziej, iż z łatwością dałaby się ona wytłómaczyć parciem monarchii Karola Wielkiego na słowian nadłabskich; ale na tym ogólnikowym fakcie kończy się, według naszego zdania, wszystko, co można wyciągnąć dla tej kwestji z ówczesnych wypadków. Ze po upadku Popielidów, t. j. rodu seniora, polacy nie szukali obcej dynastji, tylko posadzili na stolcu książęcym przedstawiciela młodszej linii tejże dynastji, autor opiera na tem, że przecie rozrodzeni w całej lechickiej słowiańszczyźnie Dragowie nie byłiby dopuścili, aby kto obcy Polskę ich rodowi wdzierał. Uważa on przeto przejście władzy od Popielidów do Piastów za rodzaj rewolucji pałacowej, za przewrót, dokonany w samym łonie panującej dynastji książęcej. Legendę o wieśniaczym pochodzeniu Piasta autor odrzuca bezwzględnie, powołując się na wyłącznie wojewodziniński czyli hetmański charakter władzy książęcej w ówczesnej Polsce i na czysto dynastyczne brzmienie imienia Chocimira.

Z większem, według naszego zdania, powodzeniem wskazuje autor dla poparcia powyższej wyłożonej hipotezy o wspólnem pochodzeniu wszystkich książąt lechickich na tę okoliczność, że tradycja tego wspólnego pochodzenia żywą była jeszcze w XIII wieku, o czem świadczy wiadomość, podawana przez Bogufała, jako Leszek III z różnych żon swych spłodził 20 synów, którym różne ziemie i hrabstwa przeznaczył, pierwotnego zaś Popiela królem nad nimi ustanowił. Autor sięga jeszcze głębiej, do arabskiej kroniki Al-Bekrego i z notatki jego o zjednoczeniu wszystkich słowian przez jednego króla, pochodzącego z plemienia Wlindaba, wyprowadza swojego Draga od króla winidów Samona, który w rzeczy samej wiele szczepów słowiańskich w pierwszej połowie VII wieku w jedno państwo skojarzył. Nie ulega wątpliwości, że notatka Al-Bekrego jest echem tej pierwszej wielkiej próby stworzenia potężnego państwa słowiańskiego, którą historia łączy z imieniem Samona; ale z dalszych słów tegoż kronikarza, opiewających że zjednoczeni słowianie rozdzielili się później, plemiona stanęły osobno i w każdym z plemion wyniósł się osobny król, nie wypadła konieczności, że ci osobni królowie byli synami lub potomkami założyciela monarchji. Uważając też tylko za bardzo prawdopodobne, iż protoplasta rodu Gryfitów był wnukiem lub synem sławnego Samona, autor wypowiada hipotezę, że stara szlachta tak polska, jak pomorska, meklemburska i rujska, pochodzi od wspólnego rodu i przedstawia wespół jeden wielki ród Dragów czyli Gryfitów. Wyjątek pomiędzy szlachtą polską stanowi: 1) ród Rawitów, przybyły z Czech; 2) rycerstwo obce, przyjęte w poczet

Zalogowski smutny, z obwisłemi wusami, siedział przy stoliku, patrząc błędnym wzrokiem na puste kufle, których kelnerka nie zdążyła jeszcze sprzątnąć. Był już zupełnie pijany. Opowiadanie wyczerpało całą jego energję, i, w chwilę po wyjściu towarzyszy, stał się zwyczajnym niedotęgą, który mało co wie o bożym świecie. Więcej z przyzwyczajenia niż z potrzeby zawołał:

— Jóźka! Daj jeszcze jeden kufelek.

— Nie ma kredytu, powiedziała i bastal

— Oddam jutro, jak Boga Kocham!

— Mam na panu rubel dwadzieścia pięć kopiejek od pół roku blisko...

— Jutro oddam ci wszystko, słowo honoru!

— Skąd je tam pan weźmie...

— Mam sposób, widzisz...

— Codzień to samo słyszę.

— Tak, ale dziś namyśliłem się i wiem, co zrobię, żeby dostać posadę...

— I cóż to za sposób?

— Daj kufelek, to ci powiem.

— No! Ale niech pana djabli wezmą, jeżeli i teraz mnie pan zmanil!

— Sło...wo... ho...no...ru... — bełkotał Zalogowski, bijąc się przytem bezwładnie, bezsilnie w piersi.

— Masz pan kufelek, to będzie rubel trzydzieści pięć kopiejek — mówiła kelnerka, stawiając piwo na stole.

— Dobrze; niech będzie rubel trzydzieści pięć... Oddam, jak Boga Kocham, bo posada pewna, jak drut.

— I jakaż to?

— A to, widzisz, ten... ten Cieżyński, co to ci kiedyś mówiłem, to on okrutnie kocha się w mojej córce i chce się nawet rozwieść ze swoją żoną, żeby się tylko z nią ożenić; tylko że ona nie chce, bo ona jest na jedno mądra, a na drugie głupia. Chociaż to moja córka, ale ja ci to muszę powiedzieć, bo to jest prawda, jak Bóg na niebie.

— No, ale gdzież posada?

— Posada?... Posada, widzisz, to tak będzie... Ten... Ten Cieżyński, choć ja go nie nawidzę, bo on mnie wyzwał z majątku, jest teraz prezesem towarzystwa akcyjnego... na zastaw... ale ty tego nie rozumiesz...

— Co nie mam rozumieć? Tylko mów pan prędzej, bo zakład czas zamykać...

— Widzisz, dowiedziałem się, że oni tam w lombardzie potrzebują teraz człowieka z prezencyją, żeby stał w mundurze i pilnował porządku, bo tam u nich ruch wielki...

— To jest niby szwajcara?

— Tak: to niby szwajcar, ale nie szwajcar; więc oni byle kogo wziąć nie mogą...

— No, więc cóż?

— To ja, widzisz, pójdę do niego... do tego pana... do Cieżyńskiego, bo on jest teraz dobrze z moją córką, i powiem mu: „Panie prezesie, niech pan prezes będzie łaskaw mi to miejsce dać” — i on mi to miejsce, widzisz, da, jak Boga Kocham, da!...

Antoni Sygietyński.



rycerstwa polskiego bądź wprost, bądź drogą adaptacji; należy tu w pierwszej linii szlachta ruska, adoptowana stopniowo przez rody małopolskie, osiedlające się na Rusi, i szlachta litewska, ryczałtowo adoptowana w Horodle 1413 r.; 3) szlachta nowo kreowana, przeważnie przyjęta do herbów przez stare rody drogą adaptacji. Uważając główną zagadkę pochodzenia szlachty polskiej za rozwiązana, przez sprowadzenie wszystkich niemal starych rodów do wspólnego źródła—rodu Gryfitów, autor przystępuje do szczegółowego wykazania, jak z młodszych członków panującej dynastji potworzyły się dynastje szlacheckie, a z tych ostatnich oddzielne rody, domy i rodziny. Przyjmując za wskazówkę znaki runiczne, przechowane w późniejszych herbach szlacheckich, autor odnosi wszystkie rody i domy, których herby lub znaki wojskowe zdradzają pochodzenie od jednego tematu, od jednej runy, do jednej dynastji, pochodzącej od jednego pra-ojca. W łonie każdej dynastji odróżnia autor ród seniora od rodów młodszych, przy czem wskazówką, zgodnie z wyżej przytoczonym zapatrywaniem się na znaczenie runy *tyr*, jest obecność tej runy lub brak jej w temacie herbowym.

Sledzenie pochodzenia tych rodów, które pod wpływem wyobrażeń zachodniej heraldyki zarzuciły pierwotny znak runiczny i przyjęły nowe zupełnie herby, autor odkłada do innej pracy, a ogranicza się w niniejszej do uporządkowania w szereg dynastji wszystkich domów, których herby niezawodnie pochodzenie runiczne wykazują. W ustawieniu szeregu dynastji zachowany jest ten porządek, że na pierwszych miejscach stoja dynastje których znaki pochodzą tylko od starszego fuhrorku, na drugim te, których runy wspólne są obydwóm, a na trzecim, których znaki należą do młodszego alfabetu runicznego. Takich dynastji nalicza autor 20, z których 17 jest czysto polskiego pochodzenia, 18-ta obejmuje rody szlacheckie polskie, pochodzące od dynastji książąt obotryckich, 19-ta rody, pochodzące od książąt ruskich, 20-ta od książąt pomorskich. Na czele każdej prawie dynastji znajdujemy jeden lub kilka rodów, reprezentujących linię seniora o herbie, zdradzającym połączenie zasadniczej runy z runą *tyr*; dalej następują rody młodsze z tymże tematem runicznym bez dodatku *tyr*. Niektóre dynastje nie posiadają już wcale przedstawicieli starszej linii (4, 5, 11, 12), inne przedstawiają linię seniora w dwóch odrębnych gałęziach, z których jedna używa w znaku chorągwiowym runy *tyr* o prostych znamionach, druga zaś o łukowatych. Piątą dynastję reprezentuje jeden tylko dom litewski niewiadomego nazwiska, dzięki ocalałej pieczęci, przez głowę tego domu używanej. Na zakończenie autor zastrzega się przeciwko przypuszczeniu, że w podanych przez niego 20 dynastjach cały odnośny materiał został wyczerpanym. Nie jeden ród szlachecki porzucił swój stary znak runiczny, zacierając w ten sposób jedyny może ślad istnienia odrębnej dynastji. Nie wszystkie zresztą istniejące pieczęcie, szczególnie szlachty ruskiej i litewskiej, zostały dostatecznie zbadane. Należy więc spodziewać się, kończy autor, że nowe studia naprowadzą na ślady istnienia nowych jeszcze dynastji. Cała więc genealogja starej szlachty polskiej, po odliczeniu wyżej przytoczonych wyjątków, przedstawia się, według autora, w sposób następujący:

Dynastja Samona.			
Dynastja Dragów (Smoków-Gryfów).			
Dynastja książąt polskich	Dynastja książąt obotryckich	Dynastja książąt ruskich	Dynastja książąt pomorskich
1—17 dynastja szlachty polskiej	18 dynastja szlachty polskiej	19 dynastja szlachty polskiej	20 dynastja szlachty polskiej

Kończąc na tem graficznym przedstawieniu swojej teorii o pochodzeniu całej niemal szlachty polskiej od jednego pnia, autor pomieszcza w dodatku do książki: poczet przywilejów w przedmiocie nadania szlachcie dóbr ziemskich w dzielnicach polski Piastowskiej w XIII i XIV wieku; takż poczet w przedmiocie nadania dóbr na Rusi z dokładniej określoną służbą wojskową; poczet cenniejszych przywilejów w przedmiocie zakładania wsi i miast prawem niemieckim, z ozna-

czoną służbą wojskową wójtów i sołtysów; poczet przywilejów z XV i XVI wieku w przedmiocie nadania szlachectwa lub indygenatu, i poczet dokumentów, wyrażających dążenie młodszej szlachty do uzyskania reprezentacji przez osobnych wybrańców, z pominięciem seniorów.

Na końcu książki umieszczone są 20 tablic, przedstawiających herby polskie w ugrupowaniu stosownem do podziału na dynastje. Herby te są umieszczone na każdej tablicy w takim porządku, że można sledzić z łatwością za całym szeregiem przeobrażeń, przez które przechodził wspólny wszystkim herbom danej dynastji temat runiczny.

T. S.

## Nowy zwrot w nauce prawa.

### I.

Doniosły a zasadniczy przełom, jaki w drugiej połowie bieżącego wieku nastąpił we wszystkich dziedzinach wiedzy ludzkiej, nie dotknął jednak prawie zupełnie zakresu t. zw. nauki prawa. Obszerna ta sfera pozostawała do niedawna uprzywilejowaną, zdawało się, niezdołanym przytułkiem rutyny umysłowej. Nowe doktryny filozoficzne i ekonomiczne, nowe badania socjologów i etnografów ostrzeliwały tę warownię lub podkopywały się pod jej mury, twierdza jednak trzymała się mocno i załoga jej ani chciała słyszeć o warunkach jakiegokolwiek, chociażby najbardziej honorowej kapitulacji.

Dwie są główne przyczyny tego uporczywego zasklepienia się w rutynie. Nauka prawa, jeżeli wyłączyć z niej te dodatkowe składniki, które wchodzą do sfery psychologii, etyki, socjologii i t. d.—należy, podobnie jak medycyna, do zakresu wiedzy stosowanej, w której zawsze postęp umysłowy odbywa się powolniej, bo walczyć musi zacięciem z empiryzmem praktycznym. Powtóre, prawo: czy to publiczne czy prywatne, karne czy cywilne—jest w gruncie rzeczy uświęceniem istniejącej w danym czasie normy stosunków społecznych w najszerszym znaczeniu tych dwóch ostatnich wyrazów.

Normowanie tej ruchliwej fali nie może podążyć za jej biegiem, tymbardziej, że w każdym stosunku, w danej chwili istniejącym, świadomie lub bezwiednie tkwią już formy stosunków nowych. Warunki przedmiotowe stosunków ludzkich ulegają również ciągłym przeobrażeniom. Jak w naturze nie ma absolutnego pokoju, tak i w życiu ludzkim nie ma ani chwili trwania, jest tylko rozwój postępowy lub wsteczny. Czynniki świadomości, którego wpływ stopniowo wzrasta, zmienność te bardziej jeszcze zwiększa. Jakościowa i ilościowa rozmaitość stosunków społecznych w sferze działania każdej organizacji prawnopństwowej utrudnia także normowanie tych stosunków. To, co dzisiaj jest normą, wobec zmiany pojęć lub warunków jutro być nią przestaje, to, co jest normą dla jednej kategorii stosunków, dla drugiej będzie pogwałceniem prawidłowości rozwoju, dla trzeciej zaś przymusem tamowaniem jego...

Regulacja prawna stosunków społecznych nie może, rzecz jasna, odbywać się ciągle, ale tylko w pewnych odstępach czasu. Dzisiaj stosunki te tak są różnorodne, tak skomplikowane, że każda zasadnicza zmiana ustaw, każda kodyfikacja wymaga znacznego okresu czasu dla jej wykonania. Projekt nowego kodeksu cywilnego dla Niemiec opracowywano w ciągu 14 lat i pomimo to dotychczas nie wszedł on w życie, okazała się bowiem potrzeba wprowadzenia zmian i dodatków. Nic dziwnego więc, że każda ustawa prawna, wobec szybkiej zmiany stosunków, jest zawsze przestarzała.

Z tego powodu prawo przestaje być tem, czem ma być właściwie w chwili swego powstania i czem być powinno—ogólną obowiązującą formułą pewnej kategorii stosunków a robi się po prostu dyscypliną logiczno-dyalektyczną. Zwłaszcza o prawie cywilnem można to bez zastrzeżeń powiedzieć, w karnem bowiem jeżeli nie zupełnie, to jednak w znacznej mierze, odzwierciadla się kierunek teleologiczny, według którego „cel jest bezwiednym twórcą prawa.”

W ostatnich czasach, jak już zaznaczyłem z kilku stron, przypuszczano szturm do warowni rutyny prawnej. Socjologja wtargnęła do dzie-

dziny prawa publicznego, psychologja z psychiatryją i antropologja kryminalną—do dziedziny prawa karnego. Ekonomii politycznej oddawna zalecano uderzyć na prawo cywilne, jeżeli nie będzie można polubownie z niem się porozumieć. Już przed trzydziestu laty Dankwardt (*National-Oekonomie und Jurisprudenz*) a za nim inni mówili o stosunku między prawem cywilnem i ekonomiją polityczną. Obecnie jednak nie o taki stosunek już chodzi, ekonomija bowiem ściśle związana jest z całym kompleksem nauk społecznych, które wraz z nią pretendują do wpływu na sferę prawa cywilnego.

Zwiasunem nowego kierunku w nauce prawa cywilnego jest znany uczoney niemiecki Ihering, który w dziele swem *Walka o prawo* (*Zweck im Recht*) wygłosił teorię, że prawo jest produktem walki interesów różnych klas społecznych. Z tego określenia wynika, że prawodawca, stwarzając normy prawne, nie powinien zwracać uwagi na zgodność ich z ogólnymi zasadami (Ihering wierzy jeszcze w ogólne zasady prawa), ale ważyć interesy różnych grup społecznych i odpowiednio do ich znaczenia normy te obmyslać. Rozstrzygające znaczenie ma tu fakt, czy dana grupa ludności posiada w danej chwili dostateczny zasób siły i wpływu, ażeby inne warstwy zmusić do uznania jej interesów.

Takie pojmowanie prawa cywilnego przeczy pogładowi, zapożyczonemu przez nowoczesnych cywilistów aż u rzymskich prawników, że prawo prywatne ma na widoku interes pojedynczej osoby, publiczne całości społecznej. Według Iheringa prawo cywilne również normować powinno stosunki ludzkie z punktu widzenia interesu publicznego. Pogład ten obecnie wielu prawników wyznaje, nie przyjmując jednak jego wyników. Dotychczas uczeni prawnicy oddają pierwszeństwo tym systematom prawa cywilnego, w których najszerszej uwzględniono zasady samodzielności jednostki, w których zapewniono pojedynczej osobie nieograniczoną wolność wykonywania czynności i prowadzenia interesów. Dotychczas prawo rzymskie, które *ad singulorum utilitatem spectat* i po za egoizmem żadnej zasady w prawie cywilnem nie uznaje, jest szkołą i wzorem dla młodszych prawników. Dotychczas w podręcznikach i w dziełach naukowych przeważa zdanie, że postęp prawny polega na oddzieleniu i oswobodzeniu prawa prywatnego z pod wpływu prawa publicznego. Jedyne ustępstwem jest dodatek, że każda jednostka działać może z zupełną swobodą—ale w granicach porządku przedmiotowego.

Nowy zwrot w nauce prawa cywilnego, o którym chcę kilka słów powiedzieć, znajdujemy w pracy prof. wiedeńskiego A. Mengera, p. t. *Prawo cywilne i klasy nieposiadające* <sup>1)</sup>.

Menger pod względem metody naśladuje Iheringa w tym punkcie, że przyjmuje kierunek teleologiczny w prawie. Ale obok tego jest on zdecydowanym przeciwnikiem t. zw. szkoły historycznej, która w Niemczech, od czasów Savigny'ego i Puchty panuje prawie wszęchładnie. W nauce prawa ten kierunek, któremu hołduje Menger, nosi miano dogmatyczno-praktycznego, co nie znaczy jednak, żeby nie uznawał zasady ewolucji historycznej. Przeciwnie, zarzut ten skierować można raczej przeciw szkole t. zw. historycznej, która obecnie jest właśnie obrońcą zupełnego zastoju i rutyny i wszelkie zasadnicze zmiany norm prawnych, odpowiednio do przeobrażeń stosunków społecznych i przedmiotowych warunków bytu ludzkiego—namiętnie potępia.

Szkoła historyczna w nauce prawa była reakcją przeciw naśladownictwu prawodawstwa francuzkiego, a dokładniej—przeciw stanowieniu ogólnych, logiczno-dogmatycznych norm, bez uwzględniania warunków rozwoju dziejowego i odrębności narodowej. Ale wychodząc z tego słusznego założenia, rychło wpadła w rutynę, zwłaszcza że przedstawiciele jej po za prawem rzymskiem niczego już więcej widzieć nie chcieli. Prawo stało się dla nich tylko dyalektycznym rozwinięciem norm, zaczerpniętych w tej studni mądrości klasycznej. Zajęci badaniem odległych czasów, cywiliści, zdaniem Mengera, nie dostrzegli tych olbrzymich zmian, jakie zaszły od po-

<sup>1)</sup> Das bürgerliche Recht und die besitzlosen Volksklassen. Archiv für sociale Gesetzgebung und Statistik.



czątku wieku w całej Europie, nie dostrzegli ani rozwoju antagonizmów klasowych, ani wzmagającego się znaczenia społecznego warstwy pracującej.

W życiu społecznym ostatniej doby dostrzegamy dwa fakty charakterystyczne. Klasy pracujące, klasy nieposiadające, wskutek liczebnego wzrostu i odpowiedniej organizacji stają się siłą, mającą wielki wpływ na życie społeczeństw zachodnio-europejskich. Obok tego zasada interwencji państwa w dziedzinie stosunków społecznych, a w interesie klas wydziedziczonych, przybiera coraz szersze rozmiary.

Tymczasem duch współczesnego prawodawstwa cywilnego jest uświęceniem zasad liberalizmu ekonomicznego. Doprowadza ono indywidualizm do ostatecznych granic, czyniąc wolność tylko środkiem uciemnienia słabych przez silnych. Prawodawstwo staje więc w sprzeczności z prądami epoki. Odpowiednio do dzisiejszych dążeń, poniekąd nawet odpowiednio do istniejących już stosunków, prawo cywilne—t. j. prawo swobodnej inicjatywy jednostki—musi poddawać się coraz więcej normom prawa publicznego, którego zasadą jest przymus w interesie całości społecznej. Prawo publiczne pochłonie kiedyś całkowicie prawo prywatne, Menger wskazuje dziś już objawy tego pochłaniania.

Rzecz ciekawa, że sformułowanie nowego zwrotu w nauce prawa cywilnego, podobnie jak niegdyś sformułowanie zasad szkoły historycznej, stoi w związku z próbami kodyfikacji: Praca Mengera jest w znacznej części krytyką projektu nowego kodeksu cywilnego dla Niemiec. Projekt ten, opracowywany w ciągu 14 lat, nie zadowolnik nikogo.

Nie ulega wątpliwości, powiada Menger, że każde współczesne prawodawstwo cywilne opierać się musi na trzech zasadach, mianowicie: 1) na zasadzie własności prywatnej, mogącej objąć wszystkie przedmioty; 2) na zasadzie wolności zobowiązań, a więc wolności umowy; 3) wreszcie na zasadzie dziedziczności majątkowej. Ale pozostając na gruncie tych zasad, będących podwalinami istniejącego porządku ekonomicznego i społecznego, przy tworzeniu i stosowaniu norm prawnych można uwzględniać jedynie interesy silnych i bogatych lub zwracać uwagę i na interesy klas nie posiadających, zwłaszcza w wypadkach, kiedy interesy kapitału i pracy są sobie przeciwne. Jeżeli prawo jest produktem walki interesów różnych warstw społecznych, to klasy nieposiadające mają już dziś dosyć wpływu i siły, ażeby skłonić do uznania i poszanowania swych interesów inne grupy. Ale prawnicy dzisiejsi, ćwiczeni na wzorach rzymskiego prawa, wychowani w duchu bezwzględnej indywidualizmu, zamknięci w kole ciasnych formuł, które obejmują już drobną tylko część zjawisk życia—zatrucili zupełnie poczucie potrzeb społecznych i nie rozumieją zazwyczaj ani dążeń epoki, ani stosunków współczesnych.

Menger przytacza ciekawe przykłady takiego zasklepienia się w rutynie. Projekt kodeksu niemieckiego poświęca 150 paragrafów normowaniu stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami, gdy o najmie siły roboczej mówi tylko w ośmiu. Tymczasem stosunki majątkowe małżonków obchodzą bardzo nieznaczną część ludności, kiedy prawo o najmie dotyczy najżywniejszych interesów co najmniej połowy narodu niemieckiego. O dzieciach nieprawych kodeks traktuje w 11 §, a o znalezieniu rzeczy zgubionych aż w 19. Projekt kodeksu uznaje 5 form stosunków majątkowych między małżonkami, jedną zaś z form tych uważa za normalną, t. j. stosuje ją zawsze, jeżeli nie ma umowy przedślubnej. Zdaje się, że normalną powinna być ta forma stosunków, którą najczęściej spotykamy w życiu. W klasie ludzi bogatych, gdzie żona, jak powiada Menger, jest *Decorationsstitück* i wnosi zazwyczaj posąg, panuje forma wspólności zarządu majątkiem podczas trwania małżeństwa—*Verwaltungsgemeinschaft*. Tam, gdzie, jak w klasie średniej, żona zwykle przyczynia się swą pracą do utrzymania rodziny—najwłaściwszą byłaby zasada podzielnosci majątkowej, odnośnie do własności, posiadanej w chwili zawierania małżeństwa i wspólności majątku dorobkowego (*Errungenschaftsgemeinschaft*). Wreszcie w małżeństwach biednych, których całe mienie jest rezultatem pracy męża i żony, powinna być normalną zasada zupełnej wspólności majątkowej.

Tymczasem nowy kodeks niemiecki uznaje za normalną tę formę (*Verwaltungsgemeinschaft*), która odpowiada stosunkom małżeńskim klas zamożnych.

Rutyna prawna ignoruje zarówno stosunki życiowe, jak i pojęcia istniejące. Dla niej np. prawo własności jest dotychczas *jus utendi i abutendi*. Dodawane zazwyczaj zastrzeżenie, że każdy ma władzę nieograniczonego dysponowania swoją własnością, z uwzględnieniem ustaw i praw osób trzecich, pozwala przypuszczać, że zasada nieograniczonego posiadania jest dzisiaj normą, interwencja zaś państwowa i prawodawcza stanowi wyjątek. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się przeciwnie. Prawo własności podlega ze strony państwa rozmaitym ograniczeniom i liczba tych ograniczeń z każdym dniem wzrasta. Opodatkowanie własności, nietylko nieruchomości ale i ruchomej, jest właściwie udziałem państwa w korzystaniu z dochodów, jakie ona daje. Prawo niepodzielnosci majątków poniżej pewnej normy, prawo ochrony lasów, prawo wywłaszczenia w celach użytku publicznego i t. d. ograniczają coraz z bardziej zakres prawa własności prywatnej. W zasadzie bezwzględnej swobody posiadania, tak, jak dzisiaj określa ją prawodawstwo, tkwi fałsz ukryty.

W przyszłości zakres pojęcia i prawa własności musi się zwać stopniowo. Rezultatem tego procesu historycznego będzie roztopienie prawa własności i wogóle prawa prywatnego w prawie publicznym.

Krytyka Mengera obejmuje zarówno prawo merytalne, jak i formalne (procesualne), podstawa jej jest wniosek, że wskutek zmiany układu sił społecznych, prawo prywatne przestaje dziś być sferą li tylko swobody.

Dzisiejszy proces cywilny jest nader złożonym mechanizmem, w którym oprócz sędziego, a raczej sędziów, biorą udział adwokaci, notaryjusze, urzędnicy i oficjalisci sądowi. Nie dosyć jest nawet umieć skorzystać z tego mechanizmu, trzeba jeszcze należycie go opłacić. Niewątpliwie wskutek podziału zajęć wymiar sprawiedliwości zyskał wiele, ale za to zdrożał niepomierne i stał się dostępnym tylko dla ludzi zamożnych. Wprawdzie prawo uwalnia biedaków od kosztów sądowych, a niekiedy nawet nakazuje darmo udzielać porady, ale taki stan rzeczy poniża uboższego i nie zaradza złemu, bo adwokaci i inni uczestnicy procesu, którzy żyją z wynagrodzenia, spełniają niedbale czynności bezpłatne. Obrona praw biedaków byłaby o wiele skuteczniejszą, gdyby sędzia mógł wpływać na bieg procesu. Rozumie się, sędzia nie może skłaniać strony do wszczęcia procesu, ale jeżeli strona wnosi powództwo i żąda przywrócenia naruszonego prawa, to wypadaloby doprowadzić sprawę do końca. Tymczasem dzisiaj sędzia niema prawa przedsięwziąć żadnego kroku bez żądania strony, przypomina on zepsuty mechanizm zegarowy, który trzeba poruszać i trząść, żeby zaczął iść. Nic dziwnego, że nieoświęcony biedak widzi, teraz w procesie cywilnym tylko szereg kruczków prawnych i sądzi, że wymiar sprawiedliwości odbywa się wyłącznie w interesie ludzi zamożnych. Zdaniem Mengera sędzia, jeżeli proces zaczęto, *ex officio* powinien doprowadzić go do końca, chociażby strona nie popierała swych żądań, a dla zachowania równowagi stron oddziaływać samodzielnie na przebieg procesu. Obok tego należy ustanowić adwokatów, płatnych przez państwo, którzyby prowadzili sprawy biednych i nie mogli żadnych innych spraw przyjmować.

Zresztą przykre położenie biedaka w sądzie wynika nietylko z jego ubóstwa i ciemnoty, ale zależy w znacznej mierze od tego, że prawo, stojąc na formalnym punkcie widzenia, stwarza jednakowe normy dla bogatych i biednych. Jeżeli państwo, w interesie klas pracujących i swoim własnym zajmuje się organizacją pomocy lekarskiej, to powinno również ułatwić tym klasom obronę interesów prawnych. Nieznajomość przepisów prawnych wyjątkowo znajduje tylko uwzględnienie. *Error juris semper nocet*; nieznajomością prawa nikt tłumaczyć się nie może—oto zasada ogólna, wzięta jeszcze od rzymian, chociaż i wówczas o słuszności jej wątpiono z uwagi na olbrzymie rozmiary materiału prawnego. Dzisiaj zasada ta jest szkodliwą, nikt bowiem, literalnie nikt, znać nie może całokształtu przepisów prawnych. Ustawy oraz nowelle i komentarze do nich zajmują całe biblioteki.

Rozumie się, biedak w danym wypadku traci najwięcej, bo nie ma za co kupić rady specjalistów. Kiedy sędzia stosuje do niego prawo w przypuszczeniu, że znać je powinien, w ciemnym umyśle biedaka powstaje wątpliwość: czy wyrok jest słusznym, serce jego doznaje uczucia krzywdy. Nie można, rzecz jasna, stawić zasady przeciwnej i a priori przypuszczać nieznajomości prawa, jako wypadku normalnego. Menger uznaje nawet konieczność formalizmu prawnego, tylko pragnie usunąć niektóre jego wyniki. Sędzia, zwłaszcza w procesie cywilnym, powinien oznajmiać każdego, zwłaszcza biedaka, z prawem istniejącem i pomagać mu w obrobie jego praw cywilnych. Następujący przykład wskazuje, że nie jest to wcale niemożliwem, a nawet trudnem.

Wiadomo, że większość osób, które wskutek wypadków na kolejach doznały uszkodzeń cielesnych, nie otrzymuje zwykle należnego im z prawa wynagrodzenia, z powodu przepuszczenia terminu wniesienia powództwa. Ponieważ w każdym wypadku odbywa się śledztwo, byłoby dostatecznym, ażeby każdego, kto poniósł stratę lub został okaleczony, zawiadamiano z urzędu o rezultacie śledztwa i informowano go, że jeżeli chce otrzymać wynagrodzenie, powinien wnieść podanie do sądu w określonym terminie. To samo powiedzieć można o nieszczęśliwych wypadkach w fabrykach, warsztatach i t. d.

J. L. Poplawski.

## BEZ OBLUDY.

### I.

Numery gwiazdkowe i szopki.—Ojcowie rodzin i ojcowie miasta.—Lew synekur.—Towarzystwo niesforne i Towarzystwo posłuszne.

Zbliża się chwila, w której redakcyjne pisma zaczęły dawać cierpliwym swym czytelnikom numery gwiazdkowe—na znak, że cnota musi być nagrodzona. Tak chce tradycja i dla tego też okładki „Kuryerów” przyozdobią się sylwetkami hurysk o rozkosznie połamanych żebrach, a dorocznym myśliciele powołani zostaną do napisania, że właściwie mogliby napisać daleko więcej, gdyby nie szczupłość łaskawie udzielonego im miejsca w numerze gwiazdkowym.

Ojcowie miasta, radcy Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, uprzedzając wymagania tradycji urządzili już dzieciom swym szopkę wyborczą (na pamiątkę tego, że i t. d.).

Zabawie nadano ponętą (dla kamieniczników) nazwę „wyborów do komitetu nadzorczego Towarzystwa Kredytowego Miejskiego”—nazwa niepedagogicznie długa, ale rachowała się na środki mnemoniczne. Aby ułatwić jej spamiętanie, niektórzy mieszkańcy Nalewek otrzymali pewne kartki *quasi*-wyborcze *in blanco* na których w czasie właściwym wypisywano nazwiska właścicieli. Chodziło o to, żeby wybrać na członka komitetu figurę, odpowiadającą widokom paru bankierów neo-starozakonnych. Kozłem ofiarnym operacji, stał się p. Edward Leo, red. *Gazety Polskiej*, radca prawny kolei Terespolskiej, szwagier p. Kronenberga itd. Nieszczęśliwy ten człowiek nie mógł dotąd wykonywać ani jednego ze swych obowiązków podług uzdolnień i powołania. Nie będąc ani literatem, ani dziennikarzem, musiał zostać redaktorem gazety; nie zajmował się praktyką prawną—a kazano mu „objąć” radcostwo prawne na kolei Terespolskiej; nie jest kamienicznikiem—a zmuszono go do piastowania członkowską komitetu; wszystko to dlatego, że raz z własnej woli i szczerego popędu objął posadę szwagra. Które z tych miejsc jest lwią synekurą — nie powiem, to tylko pewna, że nowego członka można nazwać „lwem synekur”. W jaki sposób gwałci się u nas wolność osobistą, ludzką indywidualność — najlepiej wskazuje przykład wyborów, których p. Leo padł ofiarą. Nie był on nigdy kamienicznikiem—tymczasem na dwa tygodnie przed szopką wyborczą, kazano mu kupić 1/6 jakiejś kamienicy (dla czego nie 0,001?) za tysiąc sto rubli i praw owych nabyć. W ten sposób człowiek—nie tyle złośliwy, ile raczej posłuszny—zakpił sobie z pięciu tysięcy wyborców, stwierdzając, że zdolności ich do rządów autonomicznych warte są po 14/30 rubla t. j. po złotemu i groszy czternaście od sztuki.



W Towarzystwie Kredytowym Ziemiem, powiada *Wiek*, przed wyborami przynajmniej jakiś ruch panuje, co świadczy „bądź co bądź o żywotności poniewieranej tak chętnie w Warszawie sfery właścicieli ziemskich”. Sfera istotnie jest żywotna. Radcowie jej nie tylko przykładnie pełnią swe obowiązki z wyboru, ale radziby nawet pozajmować posady płatnych urzędników dyrekcyi. Oto np. p. Choromański chciał „bądź co bądź” zostać kasyjerem; „gdy mu się to nie udało, teraz, mówi *Kuryjer Codzienny*, przyjaciele prowadzą go podobno na posadę drugą... Fawor tego rodzaju, *vulgo* nepotyzm, byłby nie tylko ciężką krzywdą stałych i zasłużonych urzędników instytucyi, ale zarazem stworzyłby precedens, którego następstw (?) gorzkoby z czasem oplakiwać przyszło. Czyż nie rozumieją oni do czego to prowadzi? Zajrzyjcie panowie choćby w ostatniej chwili w zwierciadło sumienia i zróbcie, jak wam obywatelskie poczucie dyktuje”.

Ale „oni” t. j. sfera bądź co bądź poniewierana, chce być żywotną. Obywatelskie poczucie dyktuje im, aby radcostwo z wyboru, władza kontrolująca — spoczywała w tych samych rękach co i płatne obowiązki kontrolowanego urzędnika. Pan Choromański nix będzie mógł nigdy zastosować się do rady *Kuryjera*, gdyż spojrzawszy w zwierciadło swego sumienia radcowskiego, zobaczy referenta, zaś sondując siebie jako referenta — spostrzeże radcę. Z biegiem czasu poniewierana sfera za swój *vulgo* nepotyzm i bądź co bądź żywotność zostanie wzięta w kluby, a wówczas subjekci *Stępkowskiego* będą świadkami tajemniczych szepcowań i konsolacji obywatelskiego sumienia.

Objawy istotnej żywotności, zdradzają niektóre oddziały tutejszego Tow. popierania przemysłu i handlu. P. Józef Keppe wystąpił tam niedawno z projektem uorganizowania stałej pomocy lekarskiej dla rzemieślników, proponując wszystkim cechom, aby się wspólnymi siłami wzięły do usunięcia złego. Obrady, tymczasem, do niczego jeszcze nie doprowadziły; ale można przypuszczać, że samo poruszenie tej sprawy nie będzie bez pożytku. Wszystkie prawie próby działalności zbiorowej u nas wywlekały zawsze na widownię albo nieudolność naszą albo też „bądź co bądź” żywotność i *vulgo* nepotyzm. Wszystkie poniewierane i nieponiewierane sfery okazywały w takich wypadkach zbyt wiele tępości, aby mogły zrozumieć własny interes i za mało miejsca w sumieniu, aby tam postawić „zwierciadło obywatelskich uczuć”. Mijemy nadzieję, że sfery, naprawdę przez życie poniewierane, nie wyrzekną się tak łatwo darów samopocy, gdy tylko doniosłość jej zrozumieją. Dla ułatwienia im tego należałoby mówić i przypominać jak najczęściej, co pod tym względem zrobiono już u ludzi. Zamiast utrudzać pana *Milicera* żądaniem, aby po raz dwudziesty piąty kokietował z rudą żelazną — lepiej byłoby urządzić parę dobrych a przystępnych odczytów o organizacji pomocy lekarskiej za granicą.

Maryjan Bohusz.

## GŁOSY.

— **Ubezpieczenia od choroby.** Niedawno na posiedzeniu sekcji rzemieślniczej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu poruszono sprawę zapewnienia pomocy lekarskiej dla rzemieślników.

Dr. Natanson zwraca w *Kuryjerze warszawskim* uwagę na istniejące zagranicą „wzajemne towarzystwa ubezpieczeń od choroby”. Francuskie *sociétés des secours mutuels* zapewniają członkom swoim bezpłatną pomoc medyczną, lekarstwa i środki opatrunkowe, a w razie potrzeby umieszczenie chorego w szpitalu. Niektóre z tych towarzystw wypłacają ubezpieczonym lub ich rodzinom przez cały czas choroby po 2 franki dziennie.

Oprócz tego istnieją towarzystwa zawodowe tylko dla osób jednego fachu. W Berlinie jest „towarzystwo ubezpieczenia sług na wypadek choroby” (nie wzajemne, ale zwykle przedsiębiorstwo), które za małą opłatą od pracodawców przyjmuje na siebie leczenie służących.

Towarzystwo ubezpieczeń dla mieszkańców Warszawy, nie tylko dla rzemieślników, o któ-

rego założeniu myślą, powinno być koniecznie, według zdania dr. Natanson, wzajemnem, powinno dążyć do możliwego obniżenia premij, a nawet do zapewnienia swym uczestnikom, jak to czynią niektóre towarzystwa francuskie, pensyj dożywotnich.

Koniecznym jednak warunkiem dla założenia takiego towarzystwa jest zebranie na początek funduszu gwarancyjnego. „Potrzeba więc, powiada autor, „inicjatywy i współdziałania osób zamożnych”. Ale czy takie osoby łatwo znaleźć? Zdaje się, bo nie wymaga się przecie od nich darowizny, gdyż fundusz gwarancyjny byłby zwrotny, w miarę gromadzenia się kapitału rezerwowego.

Dr. Natanson osobom, które chciałyby się zająć tą sprawą, gotów jest dostarczyć danych statystycznych, dokumentów i projektu.

Jednocześnie „*Medycyna*” porusza pokrewną sprawę:

„Przypominamy znowu o gwałtownej potrzebie zaprowadzenia w Warszawie lekarzy dla biednych (*Armenazte*). Niema większego miasta ani za granicą, ani w Cesarstwie, któreby nie posiadało takiego urzędnika. Nasi biedni w zupełności pozbawieni są porady lekarskiej. Porada ambulatoryjna bezpłatna, obficie we wszystkich szpitalach udzielana, nie może zastąpić porady w domu udzielanej. Ile to dzieci ludzi ubogich marnie ginie bez żadnej pomocy lekarskiej? Ilu ludzi dorosłych dla braku miejsc w szpitalach przebywa najgroźniejsze choroby, jak zapalenia płuc i tyfus, bez lekarskiej asystencyi? Lekarze tacy przynieśliby jeszcze dogodność, że oswoobodziliby wiele miejsc w szpitalach, gdyż niejedyn ubogi, mający jaką taką siedzibę, wolałby się leczyć u siebie w domu i nie udawałby się do szpitala”.

Dość tu trzeba, że żydzi w małych miasteczkach mają zwykle zorganizowaną pomoc lekarską dla niezamożnych. Kahał posyła niezamożnych do lekarza z karteczkami, za które potem płaci w określonym terminie po umówionej cenie, naprzykł. po 15 lub 20 kopiejek za poradę. Szczegóły o rozmaitych formach organizacyi pomocy lekarskiej dla niezamożnych u żydów obiecano nam wkrótce zakomunikować.

\* \* \*

— **Słuszne ograniczenie.** Rada lekarska ministerjum spraw wewnętrznych wydała opinię, że limfa Kocha, wobec braku wiadomości o jej składzie i metodzie stosowania oraz ze względu na to, że zastrzykiwanie jej wywołuje w organizmie raptowne, a często niebezpieczne objawy, jak: przyspieszenie uderzeń tętna do 120 — 160 na minutę, podniesienie temperatury ciała do 41° i t. d. — nie powinna być dopuszczona do sprzedaży i wogóle do dowolnego używania. Ponieważ jednak preparat Kocha, przynajmniej w leczeniu zewnętrznych form gruźlicy, okazał się skutecznym, a pomyślnie działające podobnych środków anti-bakcyliowych wielokrotnie stwierdzano, rada lekarska sądzi, że doświadczenia z limfą mogą być dozwolone, jeżeli odbywać się będą pod ścisłą kontrolą.

Na mocy powyższej uchwały, zatwierdzonej przez ministra, departament lekarski wydał następujące postanowienie:

„W ścisłym zastosowaniu artykułów 266, 306 i 310 t. XIII Ustawy Lekarskiej, wydanej w 1857 r., antygruźliczny środek R. Koch'a nie mógłby być dopuszczonym do wolnego obiegu w Rosyi. Wobec atoli uzdrawiającego wpływu preparatu Koch'a, przynajmniej na zewnętrzne formy gruźlicy, wobec mnogości napływających żądań tego środka, a niemniej wobec doniosłości i dobroczynnego działania podobnych środków anti-bakcyliowych, jak rzezonny preparat, — rada lekarska uznaje za możliwe pozwolić na używanie w Rosyi środka R. Koch'a z zachowaniem atoli warunków, ochraniających od możliwych omyłek i nadużyć. Doświadczenia za pomocą środka Koch'a powinny być dokonywane pod kontrolą rządu i osobistą odpowiedzialnością lekarza, wyłącznie w zakładach lekarskich rządowych i publicznych, których urządzenie naukowe daje rękojmię należytego zastosowania nowego środka. Do stosowania do ludzi środka R. Koch'a powinien być używany taki tylko preparat, którego oryginalne pochodzenie nie podlega żadnej wątpliwości, wobec czego będzie w następstwie wskazana pracownia specjalna, na której odpowiedzialność będzie włożone ekspedycjonowanie płynu Koch'a w Rosyi.

Ograniczenie doświadczeń uważamy za bardzo pożądane, dotychczas już bowiem wskutek zbyt gorliwie prowadzonych prób kilka osób zmarło.

<http://rcin.org.pl>

— **Emigracja i oświata.** Pod tym tytułem znajdujemy w Nr. 23 *Przeglądu pedagogicznego* artykuł p. J. Dawidowej. Dla czytelników *Głosu* wypowiedziane w artykule tym poglądy w znacznej części nie będą nowością, co nie przeszkadza jednak powtórzeniu ich teraz i powtarzaniu od czasu do czasu.

Fakty emigracyi zadają kłam rozpowszechnionemu mniemaniu, iż chłop nie ma żadnych wyższych potrzeb, że czuje się zupełnie szczęśliwym w brudnej i ciasnej chacie, że nie jest skłonny do przeprowadzania jakiegokolwiek zmian; przeciwnie — okazało się, że natura chłopca, pomimo tylowikowego ucisku, ma w sobie, tak jak każda inna, popydy do życia lepszego, że zdolna jest do czynów radykalnych, jak porzucenie swojej ziemi — że trzeba tylko *chcieć i umieć* znaleźć bodziec, któryby ją wyrwał z pozornej apatyi. Dalej, fakt emigracyi świadczy o strasznej ciemności całego ludu, który wierzy najniedorzeczniejszym bredniom, najbardziej fantastycznym baśniom i da się wyzyskać każdemu, kto go oszukać potrafi. Na koniec w sprawie emigracyjnej odsłonił się w całej pełni antagonizm mas ludowych do inteligencyi, w której chłop widzi zawsze ludzi potrzebujących tylko jego rąk, wyzyskujących jego pracę na swoją korzyść; idzie on też na oślep za głosem pierwszego lepszego agenta, a głuchym jest na wołanie panów i duchowieństwa: „panowie nie chcą nas puścić, bo stracą robotnika, — kto będzie na nich pracował”, mówią włościanie. Czyż wobec tego wina klęski emigracyjnej nie spada całkowicie na społeczeństwo, na inteligencyję, która oddała lud na pastwę pierwszego lepszego spekulanta... Czyż wolno wobec tego oskarżać ten lud, iż porzuca swą ziemię, jak z ujmującą naiwnością twierdzi P. Pobóg w *Wędrowcu*, dla „bliższożenia i używania” (1). Czy wolno wyrzekać na jego niezadarność i niedbalstwo w gospodarce? Czy wolno zarzucać mu „brak osobistej i gospodarczej samodzielności” i wystawiać to jako jedną z przyczyn, tamujących rozwój gospodarstw włościańskich, jak tego chce p. Ludwik Górski w *Niwie*? Czy może być mowa o samodzielności, gdzie panuje zupełna ciemnota? Jak można kazać chłopu prowadzić ulepszone gospodarstwo, gdy on nie widział i nie słyszał o nauce rolniczej i gdy nie ma środków materalnych do podniesienia wytwórczości ziemi?

„W istocie, czy od ćwierć-wieku zrobiło się u nas i przez nas cośkolwiek dla ludu?” pyta autorka. Czy powstała choćby jedna szkoła rolnicza, ogrodnicza lub inna fachowa dla drobnego przemysłu. Nawet fabrykanci zakładają dla dzieci robotników szkoły, ale ani jeden z właścicieli wielkich dóbr nie założył szkółki elementarnej bodaj dla dzieci swych parobków. Inteligencyja szlachecka nie interesuje się zkołą.

Oto jak mówi w tej kwestyi korespondent *Gazety polskiej*:

„Gdy przedsiębiorcy starają się o zabezpieczenie losu swych robotników przez urządzenie kas emerytalnych, bezpłatnej pomocy lekarskiej, aptek, stowarzyszeń spożywczych, czytelnicy — my, rolnicy, głusi jesteśmy na głos choćby rozsądku, co nam mówi, że i nasz wiejski robotnik więcej już wymaga, niż lichej dziennej zapłaty i perspektywy kija żebraczego na starość”.

Przeciwdziałać emigracyi, według autorki, może jedynie oświata, mająca na celu podniesienie dobrobytu. „Wszelka oświata, która z tem zadaniem się nie liczy, jest chybioną”, bo lud niechętnie ją przyjmuje.

Na zakończenie radzi autorka energiczne działanie w myśl programu „kółek rolniczych” w krajach ościennych, podnosi kilkakrotnie poruszony projekt utworzenia filii petersburskiego „Towarzystwa popierania pracy ludu”, wskazuje wreszcie, że niektóre z istniejących towarzystw, jak np. ogrodnicze, dużo w tym względzie mogłyby zrobić. Ale o tem należy pomówić szczegółowiej i obszerniej.

## ZOBCEGO SWIATA.

CXVII.

Kwestyja murzyńska w Stanach Zjednoczonych. — Niemiłość rasowa. — Ilość murzynów. — Projekty rozwiązania kwestyi.

Kwestyje rasowe odgrywają oddawna poważną rolę w życiu Stanów Zjednoczonych Ameryki, mieliśmy tam, lub mamy dotąd kwestyję indyjską, chińską, wreszcie europejską. Wszystkie te kwestyje mniej więcej poważne nie przedstawiały jednak wielkich trudności do rozwiązania. Indyjanie złotem, wódką, lub kulą zmu-



szani są do ustąpienia jankesom ziem swych i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie długo już przeskądzać będą swem istnieniem zwyciężkiej rasie białych. Przed chińczykami zamknięto już drzwi i toż samo w tej lub owej formie czeka europejskich „hunnów”. Daleko trudniejszą, a już przez to samo groźniejszą jest kwestya murzyńska, to też najpoważniejsi badacze łamią sobie głowy nad jej rozwiązaniem i z trwogą patrzą w przyszłość, w której przewidują walki wewnętrzne, niebezpieczniejsze może dla istnienia Stanów, niż wojna Północy z Południem.

W obecnej swej postaci kwestya murzyńska powstała od chwili, gdy czarni spotkali się z białymi jako równi z równymi. Przed usamowolnieniem murzynów stosunki dwu ras nie występowały na forum publiczne, miały one miejsce na uboczu, w plantacjach, gdzie działały się wprawdzie okropieństwa, zarazem jednakże powstawały niekiedy stosunki patryjarchalne, opiewane niegdyś i u nas. Wraz z usamowolnieniem obdarzono murzynów pełnią praw politycznych. Ci dawni niewolnicy powołani byli na równi z innymi do rządzenia krajem, do stanowienia praw i wyboru urzędników. Zetknięcie dwóch ras w nowych warunkach nie zadzierzgnęło jednak bardziej sympatycznych węzłów między nimi, przeciwnie, wszyscy badacze jednomyślnie utrzymują, że wzrost nienawiści rasowej właśnie od tej chwili się datuje. Nic w tem dziwnego. Dawni panowie nie mogli przebaczyć swym niegdyś niewolnikom, że w ciągu kilku lat po stłumieniu rokoszu stanów południowych, oni to dali możliwość przybyłom z Północy do absolutnych rządów w kraju. Po ukończeniu wojny domowej całe tłumy awanturników i gieszefciarzy zjawily się w stanach południowych. Ludzie ci, których cały majątek swobodnie się mieścił w walizce podróźnej (z tą też przewani *carpetbaggers*) robili doskonale interesy w podbitym kraju. Ciemne masy negrów oddawały im bezmyślnie swe głosy do rozporządzenia i w ten sposób ściągaly na siebie odpowiedzialność za te brutalne i egoistyczne rządy, które oburzyły całą białą ludność.

Z drugiej strony wolni murzyni przychodzili w coraz częstszy styk do „biednymi białymi” (*poor white man*) ku wielkiej krzywdzie tych ostatnich. Murzyn zadawałnia się taką żywnością i taką płacą, na jaką „biedny biały” zgodzić się nie może, to też ten ostatni ustępuje mu pola bitwy. W stanach południowych rzemiosła wiejskie, jak: szewctwo, krawiectwo, kowalstwo i stolarstwo coraz bardziej przechodzą do rąk murzynów. Biali, nie chcąc spaść do poziomu czarnych, muszą emigrować z kraju, szukając szczęścia w stanach Północy lub dalekiego Zachodu.

Pogarda dla rasy czarnej jest bardzo silną w całym Stanach. Stosunki małżeńskie dwóch ras budzą wstręt powszechny i w wielu stanach są wzbronione przez prawo. Mulaci są najniebezpieczniejszą rasą w świecie, spotyka ich pogarda zarówno białych, jak i czarnych, którzy nazywają ich pogardliwie „żółtymi murzynami”. Najmniej jednak domieszka krwi murzyńskiej piętnuje już na całe życie. Nieuzasadnione nie raz podejrzenie wystarcza dla wykluczenia oskarżonego z towarzystwa, nikt nie zechce zasiąść z nim przy jednym stole restauracyjnym. Takie objawy wstrętu rasowego można potępić, jako bezzasadne, i mieć nadzieję, że znikną z czasem, albo można je nawet do pewnego stopnia usprawiedliwić, jeżeli zgadzamy się ze zdaniem uczonych, którzy dowodzą szkodliwości mieszania się dwu tak odrębnych ras. W każdym razie jednak jeżeliby kwestya od tych tylko wstrętów zależała, nie byłaby ona tak groźną, jak jest w istocie. Niestety, w stanach południowych stosunki układają się w ten sposób, że powstaje pytanie poważne, czy czarni, czy biali mają pozostać i władać krajem.

Ogólna liczba murzynów w Stanach wynosiła w r. 1880—6,580,793 ludzi znaczna większość, bo 4,353,000 zamieszkuje w 8 tak zwanych „niewolniczych” stanach południa, w 7 stanach sąsiednich zamieszkuje ich 1,660,000 i wreszcie we wszystkich innych stanach zaledwie 567,000. Już z tych cyfr widzimy, że kwestya murzyńska istnieć może jako kwestya poważna tylko w owych 15 stanach południowych, w reszcie bowiem stanów pół miliona czarnych ginie wobec

31,000,000 ludzi innych ras. W 7 stanach pogranicznych procent murzynów waha się od 6—26 proc. W 8 stanach niewolniczych stanowią oni na ogół połowę ludności przyczem w 3 (Luizyjanie Missisipi i Południowej Karolinie) stanowili już w r. 1880 większość.

Cyfrы te jednak nabiorą jeszcze większego znaczenia, gdy się dowiemy, że procent ludności murzyńskiej stale w tych stanach wzrasta. Dla 4 stanów są dane co do ludności, począwszy od roku 1790, okazuje się z nich, że podczas, gdy liczba białych w ciągu 90 lat wzrosła o 220%, czarnych o 353%. Kilka przyczyn składa się na to zjawisko. Przedewszystkiem działa tu większa płodność murzynów, z liczby innych poznaliśmy już jedną—niemożność konkurencji. Murzyni nie tylko zatrzymują w swem ręku pracę rolniczą w plantacjach, która w skutek warunków klimatycznych jest zupełnie niemożliwą dla białych, ale, jakieśmy widzieli, przywłaszczają sobie coraz nowe gałęzie pracy. Bądź co bądź, faktem jest niewątpliwym, że, jak się wyraża pewien anglik, stany południowe czernieją coraz bardziej.

Wobec równoprawności publicznej coraz wzrastająca przewaga żywiołu czarnego powinna mu zapewnić coraz wszechwładniejszy wpływ na losy kraju. Z tą myślą biali pogodzić się w żaden sposób nie chcą. Jednym z ich argumentów jest ten, że niepodobna oddawać rządów w ręce ciemnej, napół barbarzyńskiej masy. Fakt ciemnoty jest zupełnie słusznym, przekonamy się jednak niebawem, że nie ten wzgląd gra główną rolę. Przedewszystkiem jednak zaznaczyć musimy, że obecnie murzyni nigdzie nie mają przewagi nad białymi. Od czasu jak południe przyszło do siebie po klęskach wojny, biali odzyskali w niem dawne swe wpływy i Luizyjana np. wybiera stale do kongresu demokratów, jakkolwiek wszyscy czarni, stanowiący większość wyborców, oddają swe głosy na rzecz republikanów. Dzieje się to w nader prosty, jakkolwiek wielce nienormalny sposób.

Biali systematycznie zastraszają czarnych. „Jest to kwestya, obchodząca białych” oto okrzyk, powstający przy podniesieniu każdej nowej kwestyi. Jeżeli to nie pomaga i czarni zbierają się do urn wyborczych w większej ilości, wówczas widzimy oburzające sceny. Biali rzucają się na murzynów, rozpędzają ich kijami, a nieraz dochodzi do krwawych starć, w których ginie po kilkunastu murzynów. Rezultaty wyborów są przytem systematycznie fałszowane na rzecz białych. Najuczciwsi i najbardziej poważani wśród białych południa nie wahają się bronić podobnego postępowania. Co więcej, pytajcie jakiego bezstronnego mieszkańca północy, a ten odpowie wam, że gdyby był południowcem, postępowałby tak samo. Tylko politykerzy republikańscy w interesach stronnicych biorą pod opiekę czarnych i wnieśli nawet w roku bieżącym do kongresu bill, zapewniający murzynom opiekę państwa podczas wyborów. Billu tego nie zdążono zanotować, obecny zaś kongres, złożony z demokratów, naturalnie go odrzucił. W każdym razie jednak nie może on przynieść żadnej korzyści i bezpośrednim rezultatem jego byłoby tylko zwiększenie nienawiści rasowej.

Nienormalne stosunki dwóch ras wywołują już oddawna rozmaite projekty rozwiązania kwestyi. Wiele się mówi np. o zupełnem wysiedleniu czarnych i użyciu na ten cel sum, gromadzących się corocznie w wielkiej ilości w kasie federalnej. Jako miejsce przyszłego zamieszkania murzynów wskazują na Meksyk, na Kubę, wreszcie na republikę liberyjską, założoną w Afryce przez murzynów amerykańskich. Śród murzynów jest też pewien ruch ku emigracji do tej ostatniej miejscowości. Jest to ruch patryotyczny murzyński, przypominający ruch palestyński wśród żydów naszych. Ruch ten jest jednak bardzo słaby, projekty zaś masowego wysiedlenia bardzo trudne do urzeczywistnienia. Nie potrzebujemy zastanawiać się nad trudnością i kosztami takiego olbrzymiego przedsięwzięcia, jak wysiedlenie 4—5 milionów ludzi. Musimy natomiast zwrócić uwagę na to, że murzyni nie stanowią wcale żywiołu nieprodukcyjnego. Nie są to lichwiarze, faktorzy, przekupnie i ludzie niewiadomego zajęcia, przeważnie są to ludzie ciężkiej pracy. Wysiedlenie ich zadałoby cios produkcji trzciny cukrowej i bawełny. W tych gorących i wilgotnych dolinach połu-

dia, gdzie koncentrują się plantacje, żyć i pracować mogą tylko murzyni.

Inne projekty rozwiązania dążą do pozabawienia murzynów praw politycznych. W roku bieżącym np. członek najwyższego sądu w Luizyjanie Karol Ferner wystąpił z pracą, w której dowodzi, że jedynym środkiem przytłumienia nienawiści białych jest dobrowolne wyrzeczenie się przez murzynów swoich praw politycznych. Dowodzi on, że biali przez wdzięczność za tę dobrowolną ofiarę nie będą nadużywali swej przewagi. Czyż może kto jednak uwierzyć podobnemu zapewnieniu, czyż dotychczasowe stosunki dwóch ras dają najmniejsze choćby prawo do podobnego przypuszczenia.

A jednak, rzecz zdumiewająca, z analogicznym, jakkolwiek nie tak krańcowym projektem wystąpił w sierpniu r. b. patryjota murzyński, Izaak Montgomery. W mieście Jackson w Luizyjanie zebrał się konwent, opracowujący projekt reformy konstytucyjnej tego stanu. Na tym konwencie Montgomery przedstawił wniosek, który, jak utrzymywał, uzyskał aprobatę wielu jego współrodaków. Z wielkim talentem krasomówczym oświadczył on, że murzyni gotowi są do wielkiej ofiary na rzecz wspólnego dobra. Liczba uprawnionych do głosu murzynów w stanie wynosi 189,884, gdy tymczasem białych wyborców jest tylko 118,890. W ten sposób murzyni mają 70,004 głosy większości i tylko systematyczne fałszerstwo daje przewagę białym. Montgomery proponuje w imieniu swej rasy poprawkę do konstytucyj, poprawkę, zapewniającą białym wielką legalną przewagę. Wnosi on mianowicie, żeby prawo głosu przysługiwało tylko piśmiennym. Prawo takie pozabawiłoby praw politycznych 124,334 murzynów i zaledwie 11,889 białych, ci ostatni mieliby zatem większość 40,000 głosów.

Kolosalna ofiara zrobiła potężne wrażenie na zebranych. Pomimo to jednak posypały się tysiące zarzutów—ze strony białych. Duma rasowa nie pozwalała na to, żeby najciemniejszy biały miał mniej praw od jakiegokolwiek murzyna. Z drugiej strony, powiadają nie bez racji, że projekt Montgomery'ego jest tylko paliatywą. Wykształcenie elementarne rozpowszechnia się wśród murzynów nader szybko, rychło więc kwestya przewagi czarnych wróciłaby znowu na porządek dzienny.

Jednym słowem, nie znaleziono dotąd żadnego środka dla zapewnienia spokojnego pożycia dwóch ras. Naturalny bieg rzeczy prowadzi do zmurzenia stanów południowych, ludność biała nie chce się z tem jednak pogodzić i przewidywać można długi okres rozstroju, który zakończy się być może okropnym rozlewem krwi.

Ze wszystkich kwestyj, kwestyje rasowe są może najtrudniejsze i najokropniejsze. Jakiś tragizm dziejowy jest udziałem rasy murzyńskiej. Dziesiątkowana w Afryce przez handlarzy niewolników, tyranizowana w ciągu stuleci przez białych w Ameryce, dziś niema ona kątki na ziemi, gdzieby czuć się mogła bezpieczną przed chciwą i samolubną rasą białą.

J. H. Siemieniecki.

## Przegląd społeczny.

**Kalisz.** (Kor. „Głosu”). Czego może dokonać fortepian pod ręką p. Reisenauera, powiedział nam w jednej z kronik Prus, który na koncercie słyszał wyraźnie, jak wywoływano po jakimś „Romansie” dr. Neugebauera; lecz co powiecie na to, że u nas redaktorowi *Kaliszanina*, p. Jawornickiemu, po koncercie inseraty z dzieła ogłoszeń poprzeskakiwały do tekstu. Sprawozdanie z koncertu zakończył tak: „R. grał na fortepianie z fabryki p. X., która coraz większe zyskuje uznanie”. A w drugim numerze czytamy już artykuł p. t. „Pochlebne świadectwo”. Cieszy nas wielce rozwój krajowego przemysłu... i uznanie, jakie spotkało fabrykę p. X. ze strony tak znakomitego znawcy, jakim jest p. Reisenauer, który wydał p. X. następujące świadectwo: Niniejszem z przyjemnością zaznaczam etc. Winstujemy fabryce i jej właścicielowi”. To drukowanie anonisu z nazwiskiem i adresem fabrykanta jest znakomitym dowodem, jak można organ zrobić wrażliwym od tyłu t. j. od ogłoszeń. Ten i ów niebity w ciemni czytelnik westchnął: co to musiało p. X. kosztować! Ludzie gotowi są oskarżać, tymczasem wszystkiemu winien Reisenauer, który widocznie grał coś z Afrykanki tak po mistrzowsku,



ze redaktorowi się zdawało, iż jest z powrotem w Kamerunie. *Kwił.*

**Piotrków.** (Kor. „Głosu”). Nie zapomnieliśmy jeszcze o pierwszej sprawie agenta niemo, namawiającego ludność tutejszą do emigracji za Ocean, gdy oto w dniu 15 b. m. przed tutejszym sądem okręgowym stanął drugi agent, mówiący o to samo przestępstwo, co i pierwszy. August Mergel, stały mieszkaniec Łodzi, prowadził agitację na rzecz wychodźstwa do Brazylii na wielką skalę, pozostając w bliskich stosunkach z głównym agentem emigracyjnym, José dos Santos'em. Podczas rewizji u rzeczonego Mergela znaleziono ciekawe notatki o 28 rodzinach, które otrzymały od niego bilety na bezpłatny przejazd z Bremenu i Antwerpii do Brazylii; 14 z tych rodzin należało do poddanych tutejszych, pozostałe do niemieckich. Nikt z namówionych przez Mergela do emigracji zbadany na śledztwie być nie mógł, gdyż wszyscy znajdowali się już po za krajem, z wyjątkiem Antoniego Jędrzejczaka, zatrzymanego w pow. kaliskim. Jędrzejczak zeznał, że z powodu zmniejszenia się płacy w Łodzi podczas wiosny pomiędzy robotnikami powstał ruch emigracyjny. Wielu z pomiędzy robotników fabrycznych poczęło wyjeżdżać do Brazylii. Gdy J. zdecydował się na emigrację, dowiedział się od swych towarzyszy, że ułatwieniem emigracji zajmują się Mergel. Ten ostatni opowiadał, że w Brazylii żyje się „jak w raju”; każdy dostaje tam tyle gruntu, ile sam zechce. Mergela za namawianie do emigracji tutejszych poddanych skazano z art. 328 Kod. Karn. na pozbawienie praw szerególnych i oddanie do oddziału rot aresztanckich na rok 1. *Długosz.*

**Łódź.** (Kor. „Głosu”). Zwykły zastój zimowy w fabrykach łódzkich dotkliwie uzość się daje robotnikom. Wielu fabrykantów zmniejszyło rozmiary produkcji, redukując zarazem do minimum liczbę robotników i ich płacę dzienną przez skrócenie dnia roboczego do 8-10 godzin. Współrzędnie, z powyższymi zastojem zdarzają się dość częste w ostatnich czasach pożary fabryk, odbierające robotnikom możność zarobkowania. Wnet po pożarze fabryki wyrobów wełnianych Heinza zgorzała świeżo przedziałnia wełny, w której pracowało 120 robotników. Na dowód jak pogorszyło się położenie pracowników przytoczyć można fabrykę Sztüllera i Bielszowskiego, gdzie przeciętny zarobek tkacza zmalał do 2 rs. 50 kop. tygodniowo, zaś sto kilkadziesiąt warsztatów stoi bezczynnie.—Teatr polski w Łodzi rozpoczął popularne przedstawienia świąteczne dla warstw robotniczych *W.*

**Dąbrowa górnicza.** (Kor. „Głosu”). W kopalni węgla „Mortimer” d. 13 grudnia miał miejsce smutny wypadek. Maszynista spuścił pod ziemię windę, na której znajdowało się kilkunastu robotników, tak nieumiejętnie, że ta, spadłszy z wysokości kilkuset metrów na dół, uderzyła z całą siłą o dno chodnika. Tu odbiła się od ziemi i znów upadła. Ludzie, jacy byli na windzie, legli zbiti w jedną masę. Do dziś ilość zabitych jest nieznaną, kilku oudem wyszło cało. Działo się to w dniu wypłaty, wiadomo zaś, że w dniu tym (wypłaty mają miejsce co miesiąc) wypłaty uskuteczniae są od 6 wieczorem. Do tej godziny robotnicy wydobyć muszą zwykłą ilość węgla tak jak codziennie przy 12—13 godzinnej pracy. W tym więc dniu zmuszeni są zaczynać robotę o 3 godziny rano. W przeddzień robotnik wyszedł z podziemia o 9 wieczór, a nazajutrz o 3 rano znów powraca pod ziemię. Czy może być przytomny robotnik a nawet maszynista, po parogodzinny nawet wypoczynku?—niech nam odpowie p. Kramsta. Bez wątpienia to było główną przyczyną wypadku. *X.*

**Łęczycza.** (Kor. „Głosu”). Miasto nasze, na pozór dosyć pokaźne i schludne, w rzeczywistości znajduje się w najgorszych warunkach sanitarnych. W podwórzach, szczególnie w domach żydowskich, panują brudy nie do opisania. Nic też dziwnego, że Łęczycza, leżąca przytem w blonistej okolicy, jest siedliskiem chorób wszelakich, jak: malaryi, reumatyzmu i t. p. Lekarze stwierdzają np., że nasi mieszkańcy mają nadmiernie rozwinięte śledziona.—O stosunkach towarzyskich niema co mówić, tak podobne są do tylekroć opisywanych (na dziwisko cywilizacji) w pismach warszawskich. Mówią nawiasem, korespondenci wpadają na temat życia towarzyskiego w miasteczkach z szablonem: „nasza inteligencja śpi, koteryje, plotki i t. p.” głównie dla tego, żeby dowieść, iż nie mają o czem pisać. Życia społecznego nie można łapać za puls w saloniku p. aptekarskiej lub rejentowej.—Przed kilku laty pani Z. Korejwo założyła czytelnice, w której było parę tygodników na początek. Tymczasem i te zostały skasowane, bo nie było czytelników; zostały tylko pisma humorystyczne. Naogół pism najwięcej czytują kobiety. Na ohlubę im to zapisuje; jest to element najbardziej postępowy, gotów na zmiany najradykałniejsze... w tiurniurze, czytują więc najwięcej pism, ale — z modami. O głowie pomyślało zaledwie jakichś dziesięciu odczepieńców, którzy trzymają pisma postępowe. *Radan.*

**Nałęczów.** (Kor. „Głosu”). Zakład przyrodolecznicy nałęczowski leży w płytkiej kotlinie, otoczonej dokoła

wzgórzami: górą Armatnią, górą Poniatowskiego, Śtokrzyską i t. d. Park zakładowy przerywa rzeczka Boobotnicza, wypływająca ze źródeł żelazistych pod wioską Boobotnicą, z którą Nałęczów łączy się szeregiem will. Z przeciwnej strony leżą wioski Charz i Chruszczów.—Na sezon letni administracja zakładu przygotowuje kilkanaście pokoiów, które za tania pieniądze odnajmować można będzie na doby. Jest to znaczne udogodnienie dla ludzi, zmuszonych piec się latem w skwarze warszawskiej, którzyby zapragnęli w ciągu kilku dni wypocząć i odetchnąć prawdziwym powietrzem. Stara się również zakład o utworzenie stałej orkiestry włościańskiej.—Boobotnica, o której mam zamiar szerzej wkrótce pomówić w *Głosie* jest wsią kościelną. Parafia ta liczy 1810 włościan polaków (63 żydów i 10 prawosławnych). Oznaczę tu pobieżnie poziom oświaty: czyta 314, czyli 16,8 proc., pisze zaledwie 29, czyli 1,3 proc. W wioskach, otaczających Nałęczów z bliska—czyta całe, bez wyjątku prawie, młode pokolenie i daje się zauważyć znaczne dążenie do zdobycia oświaty, w bardziej oddalonych dążenie to słabnie. Podczas gdy w Boobotnicy czyta 20 proc., w Antopolu 20,6 proc., w Chruszczowie 20,1 proc., w odległych o kilka wiorst Sadurkach — 14,4 proc., w Strzelcach 14,8 proc., w Czesławicach 14,6 proc. Nadzwyczajną poczytnością wśród publiki wiejskiej cieszy się tutaj „Czarownica” („Dziurdziowie”—Orzeszkowej). *S. Ż.*

### Z CESARSTWA.

**Mińsk gub.** (Kor. „Głosu”). Przed paru tygodniami zdarzył się u nas charakterystyczny wypadek. Kilkunastu szewców (żydów) t. zw. kamaszników (t. j. przygotowujących wierzchnią część obuwi letniego), rzuciło robotę u swych patronów, żądając podwyższenia płacy. Część zaledwie czeladników wypowiedziała służbę z ochotą, innych wciągnano do zmywy bardziej energicznymi środkami. Majstrowie, którym jeszcze czeladnicy pozostali wierni, z uprzejmością dzieliли się z towarzyszami niedoli proą pozostałych robotników. Po paru dniach niezadowoleni powrócili, jak niepyszni, na swe stanowiska, majstrowie bowiem, korzystając z czasu, w którym zamówienia na letnie obuwie ustają niemal zupełnie, nie pospieszyli wcale z uwzględnieniem potrzeb swych podwładnych.—Zwyczajem lat ubiegłych, Mińskie Towarzystwo Dobroczynności w końcu grudnia r. b. otwiera bazar. Nie powiem, żeby to cacko, ze względu na kosztowność urządzenia, było bardzo szczęśliwym pomysłem, należy je jednak powitać przychylnie, trudno bowiem w inny sposób poruszyć obywatelską ośmierność publiczności—tymbardziej, że Towarzystwo zajęło się obecnie organizacją istotnie ważnej i produkcyjnej instytucji (o czem w swoim czasie zawiadomię czytelników). *K. P. Rewera.*

**Z Podola.** (Kor. „Głosu”). U nas (w powiecie Liwskim), chłopci nie myślą o Brazylii, dzięki względnemu dobrobytowi, jaki zapewnia im zarobkowanie na plantacjach buraków. Cukrownie (w Sieniawie, Uładówce i Wójtowcach) wypłacają zgóry okolicznym włościanom znaczne zaliczki, które, w razie niestawienia się zobowiązanych do roboty, mają być egzekwowane; tymczasem chłopci, wzięwszy zaliczkę, na robotę bardzo niechętnie, lub nawet wcale iść niechęcą, wydaje im się bowiem, że pracują zadarmo. Komornika chłopci się nie boją, bo najczęściej zaliczki owe biorą niewypłacalni. Dokumenty tylko zostają, i na ich zasadzie mogą zaznaczyć, iż same Wójtowieckie majątki w przeciągu paru lat rozdały na zaliczki czterdzieści tysięcy rubli, z których ani grosza już nie odbiorą, ani jednego dnia roboty nie otrzymają. Nie zniechęca to bynajmniej fabryki do systemu zaliczek, gdyż, jak powiadają, inaczej nie mogłaby cukrownia egzystować. Wyobraźcie sobie, jak miłą jest podobna konkurencja rolnikom, którzy nie mogą tak sypać pieniędzmi. O robotników toczą się formalne walki. Niektórzy przysyłają po nich wozy z muzyką, wódką, watażkami dla dziewcząt i w taki sposób zabierają pracującą u sąsiada drużynę. Nawet w zimie, gdy robotnik o wiele jest tańszy, Wójtowieckie folwarki płacą chłopcom małym 8 rs. miesięcznie. *W. W.*

**Żytomierz.** (Kor. „Głosu”). Wołyński statystyczny komitet gubernialny ogłosił niedawno szereg danych, dotyczących większej posiadłości ziemskiej na Wołyniu. Owóż, według komitetu, większa ziemska posiadłość na Wołyniu do wydania prawa 10 grudnia 1865 r. przedstawiała się w sposób następujący. W rękę właścicieli pochodzenia ruskiego znajdowało się 167,000 dziesięcin, w rękę polaków 2,776,000 dz. i w rękę żydów 30,000 dz.; obecnie pierwsi mają 865,000 dz., polscy 1,162,000 dz., żydzi 42,000 dz. i niemy 242,000 dz.—Świeżo doebodzi nas wiadomość, iż w miasteczku Druszkopolu, liczącym na granicy Wołynia i Galicyi, została aresztowana żydówka Itia Braunsig, oskarżona o poddawanie pogranicznej z Galicyją ludności wołyńskiej do wymigrowania do Brazylii. Jak udowodniło zarządzone natychmiast śledztwo sądowe, Itia Braunsig wyprawiła do Brazylii kilkanaście rodzin chłopskich...—Naresz-

ście miejscowe progimnazjum klasyczne przeniosło się do własnego domu i zajęło dawniejszy lokal żytomierskiego instytutu żydowskiego. Przy progimnazjum został urządzony pensjonat dla 40 uczniów z opłatą roczną trzystu rubli.—Jak donosi miejscowa gazeta „Wołyń”, z inicjatywy prezesa tutejszego stowarzyszenia lekarzy gubernii wołyńskiej p. Brunsma odbył się w naszym mieście zjazd lekarzy wiejskich z Wołynia. Programat zajęć i obrad zjazdu dotychczas niewiadomy. *B. Markor.*

### Z ZAGRANICY.

**Poznań.** (Kor. „Głosu”). Nareszcie mamy otrzymać arcybiskupa, będzie nim ks. Leon Mieczkowski, b. kapelan wojskowy. Jest to kandydat przedstawiony przez cesarza, bo kapituła, jak pisałem, rzekła się prawa wyboru kandydatów. Ks. Mieczkowski, z pochodzenia polak, ma być *persona grata* u rządu, a jak o nim mówią nasze pisma klerykałne, umie zręcznie godzić ucznia z obowiązkami powołania. Emigracja do Brazylii zaczyna się u nas rozwijać, oczekują po Nowym Roku tłumne wychodźstwa. W Kruszwicy odbyło się zgromadzenie ziemian, polaków i Niemców, celem obmyślenia środków, któreby zapobiegły emigracji ludu. Zgromadzenie podało naczelnemu prezesowi petycję, celem wyjednania rozporządzenia władzy: 1) aby od każdego wychodźcy w chwili wsiadania na okręt żądano koniecznie świadectwa landrata, iż zadośćczynił swoim zobowiązaniom służbowym i publicznym; 2) aby z Królestwa Polskiego przepuszczano przez Pruski tylko emigrantów, którzy okażą pasporty ruskie, a to dla tego, żeby wychodźcy niemieccy nie podawali się za poddanych Rosyji i wskutek tego unikali kontroli; 3) aby władza zezwoliła na przyjmowanie robotników z Królestwa z rodzinami do służby stałej, W czasie obrad stwierdzono, że około 30% robotników wiejskich zażądało świadectw uwolnienia—są to kandydaci do emigracji.—Wybory do sejmiku prowincjonalnego już ukończone, ale rezultaty ich nie przedstawiają nic ciekawego.—Na sprzedaży przymusowej ksiądz Chrustowicz i syndyk Wyszynski kupili na rzecz domu sierot w Miejskiej Górze majątek Siedlimowo, 1436 morgów obszaru. Majątek ten będzie rozparcelowany i odprzedaany włościanom.—Sprawozdanie sanitarne za rok 1889 do 1890 wykazuje w mieście naszym znaczny wzrost śmiertelności, w porównaniu z ubiegłym rokiem sprawozdawczym było o 372 wypadki śmierci więcej. *Wojciechek.*

**Kraków.** (Kor. „Głosu”). W charakterze przodownika akademii umiejętności zdobył się już p. St. Tarnowski na śmiały krok, który potwierdza w zupełności to, cośmy w ostatnim liście, oświetlając nowe stanowisko hrabiego-profesora, zaznaczyli. Autor „Pisarzy politycznych XVI wieku” wpłynął na swych kolegów, aby nie wybierali wiceprezesem akademii zasłużonego anatoma, prof. Teichmanna, poddając im natomiast myśl bardzo niefortunną zastąpienia go przez posła prof. Ferdynanda Zolla, romanistę i znawcę spraw szkolnictwa, który jednak nie posiada żadnego tytułu do naukowych godności i hołduje skrajnym zasadom zachowawczym. Pominęcie długoletniego zastępcy prezesa i powołanie na jego miejsce ołowianka, skądinąd zdolnego, ale bez najniejszych danych do piastowania tak poważnego stanowiska—jest już probierzem polityki dzisiejszego akademickiego gabinetu, który dobrawszy sobie na dyrektorów wydziałów pp. Janczewskiego i Morawskiego stanowi prawdziwy klub przyjaciół politycznych. Akademia powzięła tydzień temu uchwałę następującej treści: ustanawia się wieczysta fundacja konkursowa imienia Józefa Majera. W budżet wspólnych wydatków wstawiać się będzie stale kwota 500 złr. Nagroda przyznawać się ma co lat dwa w kwocie 1,000 złr. kolejno za pracę z zakresu nauk przyrodniczych i wyzwołonych. Pytania konkursowe dawać będzie i nagrodę przyznawać prezes Majer, a po jego najdłuższym życiu właściwe wydziały, pod zastrzeżeniem ratyfikacji akademii. W głosnej obecnie sprawie rozwiązania tow. historyczno-literackiego w Paryżu, oraz zamierzonego przelania biblioteki i majątku tej instytucji na krakowską akademię, publikuje p. Tarnowski oświadczenie, iż rokowania w tej mierze prowadzą się warunkowo i zależą od zgody obu interesowanych rządów. Uchwały towarzystwa paryżskiego, ze względu na dzisiejszy stan naszej akademii—nie możemy uznać za pożyteczną, gdyż wszystkie wydawnictwa i bogaty księgozbiór narażone zostają na opłakany los zapleśnienia w archiwach akademickich, z których rzadko co wpływa na pożytek i dobro ogółu.—Minister Gautsch, odwołując się do uczuć Matejki, nie chce mu udzielić dymisy, a natomiast proponuje dłuższy urlop. Co do mnie, to udzieliłbym przedewszystkiem najdłuższego urlopu p. Zygmuntowi Cieszkowskiemu, miłośnikowi płci pięknej, sztuk plastycznych, wyścigów, oraz sekretarzowi krakowskiego towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Nazwisko tego pana jest obecnie na ustach wszystkich, z powodu że urządził on w Sukiennicach, w salonach wystawy raut na oześć p. Modrzejew-



skiej. Profanacja sztuki i to ze strony jej przysięgłego stróża jest rzeczywiście oburzającą. Wyobraźcie sobie czytelnicy, że ów p. Cieszkowski, niby pół-hrabia, wziął w antreprzyę wieczorne oświetlenia wystawy elektryka, gdzie gry za orkiestra wojskowa dla wabienia publiczności. Doszło już do tego, że wieczorami niepodobna oglądać obrazów, gdyż snujące się tłumy tworzą mur ochronny i zasłaniają dzieła sztuki. Sukienice, do niedawna przybytek piękna, zamieniono na deptak, gdzie zjawiają się wystrojone kobiety, bawidamki a nawet półswiatek, szukający tam żeru. Wczoraj np., urządził sobie p. Cieszkowski bufet w jednej z sal, sprosił na raut kilkaset osób, a za to wszystko zbierał... słowa uznania i podzięk, nawet ze strony artystki p. Modrzejewskiej, która winna była uznać, że takie szopki i szynkownie na wystawie — to prostytucja sztuki. Dziwię się najwięcej prasie, która przez szpary na to patrzy, a co więcej, popiera zapędy p. Cieszkowskiego. — W kościele św. Anny odsłonięto 12 b. m. tablicę pamiątkową dla śp. Zygmunta Wróblewskiego znakomitego fizyka. Koledzy zmarłego powinni byli trochę wcześniej zdobyć się na tak drobne użeczenie pamięci człowieka, który był prawdziwą ozdobą wszechnicy jagiełłońskiej. — Spór artystyczny o Modrzejewską między pp. Bartoszewiczem a Dobrowolskim, o którym już pisałem, zakończył się na ostatniej kronice tygodniowej, p. B. który we właściwy mu cięty sposób scharakteryzował pochwalne hymny wszystkich recenzentów tutejszych na oześć p. Modrzejewskiej. — Z personelu teatru ubyły dwie dobre sily i jedna mierna, wszystkie dla względów natury osobistej. *Vox.*

P. S. Epilog procesu wadowickiego rozegrał się ma przed kratkami wiedeńskiego trybunału dnia 29 stycznia rp.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Parlament angielski został odroczony na kilka tygodni; korzysta z tej feryi Parnell i objeżdża Irlandyję. Nadzieje jego na lud irlandzki zdaje się go nie zawiodą, jakkolwiek bowiem było parę drobnych manifestacji nieprzyjaznych, w ogromnej większości wypadków przyjmują go z zapalem. Szczególny entuzjazm wywołał wjazd jego do Dublina w powozie lorda mera. Lud witał go jak króla, wyprzągl konie i powóz własnymi pociągnął rękami. W mowie dublińskiej wspomniał Parnell o procesie O'Shea. Powiedział, że wyrok zapadł wskutek zeznań jednostronnych, że jego obrona będzie z ozasem znaną. Proces ten jednak nie jest istotną przyczyną zatargu z liberałami, chodzi tu bowiem o stosunek stronnictw i o zasady *home-rule'u*. W Dublinie też Parnell przemocą zajął redakcyę *United Ireland*, której jest współwłaścicielem i pomimo najśó przeciwników utrzymał się przy niej. W Cork przyjęcie było również serdecznem. Związek demokratyczny, złożony przeważnie z robotników, ofiarował mu reprezenturę. Parnell zapewniał deputacyję, że sprawa robotnicza żywo go obchodzi.

Obóz Mac Carthy'ego, złożony obecnie z 52 członków, rozwija też dość energiczną działalność. Poparł go świeżo Davitt w piorunującym artykule. Wielkie zasługi mogłyby antyparnellistom oddać Dillon i O'Brien, najpopularniejsi po Parnellu przywódcy, zaraz jednak po powrocie będą oni musieli pójść do więzienia. Okoliczność ta wielce sprzyja widokom Parnella. Ameryka oświadcza się stanowczo za Parnellem. Zebrane na rzecz Irlandy fundusze zostały zatrzymane do czasu otrzymania wskazówek od Parnella. Sily dwóch rywalizujących stronnictw zmierzają się wkrótce na wyborach uzupełniających w North Kilkenny. Agitacyja wyborcza już się rozpoczęła. Z jaką zaciekłością prowadzi się ona, do jakich bezsensownych czynów uciekają się antyparnellisci — świadczy fakt, iż podczas bójki zasypano Parnellowi twarz sproszkowanym wapnem. Z początku zachodziła obawa osłepnięcia, zdaje się jednak że rzecz skończy na kilku dniach niewyhodzenia z domu. Dodajmy nawiasem, że brutalne zajście między Parnellem a Mac Carthym, o którym wspominaliśmy przed tygodniem, okazało się bajką.

Parlament włoski otwarty został mową tronową, zapewniającą o pokojowości sytuacji i o pilnej potrzebie zajęcia się sprawami ekonomicznymi. Crispi zamierza podobno naseryjo wystąpić w roli reformatora społecznego. Istotnie jest to rzecz, we Włoszech zwłaszcza, bardzo pilna, dochodzą bowiem ztamtąd wieści o ogólnym prawie kryzysie. Tłumy robotników w Medyjanlanie i Brescyi nie mogą znaleźć zajęcia i domagają się roboty od rządu.

Mowa tronowa zapewnia, że nowe podatki żądane nie będą. Jest to jednak rzecz uader wątpliwa, przed samem bowiem zebraniem się parlamentu podał się do dymisji minister finansów Giolitti wskutek tego, że minister robót publicznych nie zgodził się na żądane przez Giolittiego oszczędności. Nowy minister skarbu, Grimaldi, znany jest jako zwolennik „gospodarki nakładowej”.

Nowe ugrupowanie się stronnictw czeskich staje się

coraz oczywistszem. Tak zwani realisci połączyli się z młodoczechami, do których przybywa też coraz więcej staroczechów. Deputaci trzech zlewających się grup obradują właśnie nad ułożeniem nowego programu i obmyśleniem nowej nazwy.

Konferencyja szkolna w Berlinie wypowiedziała się za utrzymaniem szkół realnych i gimnazyjów klasycznych, a za zniesieniem gimnazyjów realnych (z językiem łacińskim). Reformy w gimnazyjum mają się odbyć w tym samym duchu, co niedawne reformy w Rosyi. Główny nacisk położony był ma na język niemiecki. Czas przeznaczony na języki klasyczne będzie nieco skrócony i główna uwaga zwrócona na czytanie autorów, nie zaś na gramatykę. Nieprzeciążanie uczniów robotami domowymi i większe zajęcie się higieną szkolną i wychowaniem fizyoznem dopełniają resztę programu.

Skupozyna serbska, zgodnie z zyczeniem rządu, uznała się za niekompetentną do wyrokowania w kwestyjach dotyczących stosunków domu królewskiego. Królowa Natalia zamierza ogłosić swój memoryjal drukiem, sama zaś prawdopodobnie przeniesie się na stały pobyt do Rumunii.

Kongres robotników belgijskich w La Louviere postanowił urządzić powszechne bezrobocie, jeżeli izba odrzuci projekt rewizyi konstytucyi, dążący do wprowadzenia głosowania powszechnego.

## KRONIKA LITERACKA.

Kalendarz polski dla ludu na rok 1891 — p. Ursyna.

Rzecz, ułożona po dyletancku, wzorująca się wyraźnie na innych, dawniejszych kalendarzach ludowych, przeładowana powiastkami, — posiada jednak parę artykułków poważniejszych i nieźle skreślonych, jak: *O Banku Włościańskim*, *Pożary po wsiach*, *Przypomnienie prawa o samorządzie gminnym*, *O pożyczkach z Towarzystwa Kredyt. Ziemskiego dla małorolnych*, *Ochronki i przytulki wiejskie*. Kończy się kalendarz elementarzem, a raczej *abecadłem* nędznie ilustrowanem, z paru stronkami *składania sylab* i z dodatkiem *tabliczki mnożenia*. Podanie tego rodzaju elementarza uważać można tylko za nonsens pedagogiczny. *M. B.*

Strzecha rodzinna. Kalendarz E. Kolinskiego na rok 1891.

Jest najbardziej urozmaiconym i najwięcej praktyczny charakter posiadającym kalendarzem ludowym na rok przyszedł. W porównaniu z dawnymi laty pozbył się on w znacznej mierze powiastek i wierszy, które — o ile nie posiadają głębokiego społecznego znaczenia — są zawsze niepotrzebnym balastem kalendarza ludowego; wzamian zaś rozszerzył dział ziłrowia publicznego i gospodarstwa. W pierwszym szczególniejszy spotykamy parę rozprawek istotnie ważnych, jak: *O chorobach zaraźliwych* — D-ra Sewera Ster., *O sucholach płucnych* — Dr. A. G., *O pielęgniowaniu niemowląt* — Antoszki, *O szkodliwości palenia tytoniu*. Szkoda tylko, że pierwsze dwa artykuły nie są równie dostępne dla ludu napisane, jak rzecz p. Antoszki.

Z gospodarstwa: *Rady gospodarcze na każdy miesiąc*, *O żołdach*, *O braku paszy* — p. St. Rewieńskiego; wyborne, ze znajomością rzeczy napisane *Słowa prawdy dla gospodyń* — pani W. U.; praktyczny, choć nieco starannie opracowany art. *O sadzeniu drzewek owocowych*. Jako nowość, mamy artykułki wychowawczy: „*Jak uczyć czytać, pisać i rachować*”.

Artykuł o *pożyczkach z banku włościańskiego*, ciekawsze dane *statystyczne z życia Warszawy*, kraju i świata, *wspomnienia zesłoroczne*, wreszcie liczne, nawet zbyt liczne *życiorysy zmarłych* — kończą kalendarz właściwy. W dalszym ciągu zwraca uwagę naszą spis najważniejszych czasopism polskich, oraz katalogi książek przeważnie ludowych, ludoznawczych i krajoznawczych. Prócz tego „Strzecha” zawiera parę ładnych drzeworytów treści religijnej, oraz bardzo podobny portret J. K. Gregorowicza. Wszystko to skłania nas do polecenia tego kalendarza szerokiej publiczności.

## KRONIKA. POWSZECHNA

— **Rozporządzenia rządowe.** Ogłoszono rozporządzenie, tyczące się wyznaczania stypendyjów rządowych dla urzędników finlandzkich, którzy wysłani będą do gubernii wewnętrznych Cesarstwa celem dokładnego obeznania się z językiem ruskim. Urzędnicy ci otrzymują na przeciąę 9-cio miesięczny 2,000, a na rok 3,000 marek. — Departament kolejowy polecił kolejom zwracać uwagę na wykazane w prasie nieporządki i nadużycia na drogach żelaznych i przeprowadzanie za każdym razem śledztwa, w celu przedsięwzięcia odpowiednich środków i ukarania winnych, lub zaprzeczenia w piśmie, które podało nieprawdziwą wiadomość. Niekazanie się w

druku zaprzeczenia lub wyjaśnienia będzie uważane za dowód prawdziwości faktów i pociągnie za sobą kary ze strony ministryjum. — Dozwolono przyjmować kobiety do uniwersytetu helsyngforskiego, z warunkiem jednak zgodzenia się władzy uniwersyteckiej za każdym razem.

— **Życie społeczne.** Krząż pogłoski, jakoby miało być zakazane pojedynczym żydom przyjmować chrześcijaństwo, oddzielnie od całej rodziny. — Gazety ruskie donoszą, że dalsza imigracyja zagraniczna ma być wzbronioną i dozwoloną jedynie pod warunkiem przyjęcia poddaństwa ruskiego. Wszyscy koloniści, którzy nabyl już własność nieruchomą w Rosyi, obowiązani będą przyjąć poddaństwo ruskie w ciągu 3 ch lat. — Z powiatu łódzkiego 260-ciu popisowych wyemigrowało do Brazylii. — W listopadzie wyjechało z Brey 15,754 emigrantów, z tych 7,600 do Brazylii. — W gub. siedleckiej znajduje się 9 szpitali, 3 domy przytułków starców i kalek, oraz 4-ry ochrony dla dzieci.

— **Kronika ekonomiczna.** Właściciele dorozek w Warszawie zamierzają założyć towarz., oparte na wzajemności, w celu asekracyi koni od nosacizny i łamania nóg podozas jazdy. — W Królestwie Polskim znajduje się 182 hurtowych składów okowity, a w całym państwie ruskim 4,880. — Fotografowie warszawscy porozumieli się w celu założenia towarzystwa wzajemnej pomocy. — W okolicach Nałęczowa ma powstać cukrownia udziałowa, założona przez grono ziemian. — Na gruntach wsi Skarżysko pod Bżnem przystępują do eksploatacyi węgla kamiennego. — Stany Zjednoczone zaproponowały różnym rządom wzajemne komunikowanie sobie wiadomości o bankructwach. — Inspekcya fabryczna odkryła wykroczenia przeciw prawu o pracy dzieci w dwóch fabrykach warszawskich: Izraela Dombrota (fabryka guzików metalowych) i Elsteina (fabryka lamp). — Ruskie towarzystwo techniczne urzęda w Petersburgu w marcu wystawę fotograficzną. Informacyj bliższych ndziela komitet wystawy przy ulicy Pantelejmonowskiej N. 2 w Petersburgu. — Sąd handlowy warszawski ogłosił w r. b. 15 upadłości. — W pow. taraszozańskim gnb. Kijowskiej wielu włościan w ostatnich czasach zajęło się hodowlą jedwabników. — Komitet muzeum przemysłu i rolnictwa postanowił okazy, które na wystawie nasion, oraz produktów rolniczych zostały odznaczone nagrodami, wysłać na wystawę środkowo-azyjatycką do Moskwy. — Bank azowsko doński z Taganrogu otrzymał koncesyję na założenie filii w Warszawie. — W 35-ciu miejscowościach gubernii kijowskiej otwarte zostały kasy oszczędności przy instytucyjach pocztowych. — Bank państwa obniżył znacznie dyskonto, a ma jeszcze je obniżyć, przez co wytworzy najniższy poziom dyskonta, jakiego jeszcze nienotowano w Rosyi. — W towarzystwie kredytowym m. Warszawy wybrano na dyrektora p. Makowieckiego, na zastępow pp. Diehla i Szmita, na członków komitetu pp. Temlera, Blocha i Leo.

— **Skoly i oświata.** Na początku r. b. w gub. kieleckiej było 1 gimnazyjum męskie, 1 progimnazyjum męskie, 1 gimnazyjum żeńskie, 1 seminaryjum nauczycielskie, 1 szkoła elementarna wzorowa, 305 szkół ludowych. Uczących się chłopów było 13,232, dziewcząt 7,550, razem 20,782. Z tego w miastach i osadach 2,467, po wsiach 18,315. Podług wyznań: prawosławnych 358, katolików 19,548, ewangelików 252, żydów 623. Oprócz tego znajduje się w gubernii szkoła elementarna prawosławna, seminaryjum duchowne katolickie i 120 oherderów, a w nich 2,018 dzieci. — W uniwersytecie dublińskim składało egzamin 18 studentek. — Przy szkole sztygarów w Dąbrowie górniczej utworzono pierwsze stypendyjum (rządowe). — W *Literarisches Centralblatt* 183 profesorów uniwersytetu lipskiego zamieściło protest przeciw zamiarowi zmniejszenia wykładu języka greckiego w gimnazyjach. — W maju odbędzie się w Peszcie międzynarodowy zjazd ornitologów. — Urząd starszyob zgromadzenia drukarzy wystąpił do magistratu o wprowadzenie do szkół niedzielno-rzemieślniczych wykładu początków języków niemieckiego i francuzkiego dla uczniów drukarskich, ponieważ niezajomość choćby początków tych języków obniża zarobki drukarzy. — Ministryjum oświecenia odmówiło próbie mieszkańców Łucka o założenie w tem mieście gimnazyjum.

— **Literatura i sztuka.** Na scenie teatru Rozmaitości wystawiony wkrótce zostanie głośny dramat Vossa pod tytułem *Ewa*. — Rehbronn, nauczyciel z Poznania, przerobił *Pana Tadeusza* Mickiewicza na scenę po niemiecku. — Modrzejewska wystąpi 9 razy w Warszawie i 6 razy w Łodzi. — *Biblijoteka warszawska* ukończyła 50 lat swego istnienia. — Ma wyjść z druku wykaz biblijograficzny dzieł Orzeszkowej, tłumaczonych na język ruski. — Dla użytku władz rządowych wyszedł specjalny kalendarz p. t. *Privislanskij stiennoj kalendar*. — Leger, profesor literatur słowiańskich w Collège de France, tegoroczny swój wykład poświęca *Panu Tadeuszowi* Mickiewicza. — W Zagrzebiu od Nowego Roku zacnie wychodził miesięcznik, poświęcony wyłącznie współczesnej literaturze ruskiej. — Do Warszawy w lutym zje-



dzie przenośna wystawa obrazów malarzy amerykańskich. — W Bochum, w Westfalii, wychodzić ma tygodnik polski dla tamtejszych górników polaków. — Towarzystwo sztuk pięknych urządzi w lutym wystawę obrazów artystów zagranicznych. — Zygmunt Noskowski obchodzi 25-letni jubileusz pracy kompozytorskiej. — Wszystkie uniwersytety ruskie zaproszone zostały do opracowania programu zjazdu archeologicznego, który będzie w Wilnie w 1893 r. — Cuór dziecięcy, zorganizowany przez towarzystwo muzyczne, liczy obecnie stu uczestników.

— **Kosmaitości.** Wystawa etnograficzna Janikowskiego otwartą będzie do połowy stycznia. — Z liczby współczesnych uczonych i dyplomatów francuzkich 41 proc. wypada na szlachtę, 52 proc. na burżuazję i 7 proc. na ludzi, wyszłych z ludu. — Frayinet został wybrany członkiem akademii francuzkiej. — Na Prusy Wschodnie przypada rocznie około 100 osób, skazanych za krzywoprzyśięstwo. — Według spisu z d. 1 grudnia r. b. Berlin liczy 1,574,485 mieszkańców, z przedmieściami zaś blisko 2,000,000. — W teatrach rządowych warszawskich ma być zaprowadzone oświetlenie elektryczne. — Katedrę prawa rzymskiego w uniwersytecie nowo-jorskim objęła pani Kempin. — W Nowym-Yorku już cztery kobiety są notaryusami. — W Austrii zabroniono urządzania ambulatoryjów dla leczenia limfą Kocha. — Russel w Edynburgu odkrył lasecznika raka.

— **Nekrologija.** Edward Tomaszek, b. profesor uniwersytetu lwowskiego i wiedeńskiego, zm. w Wiedniu. — Ludwik Żychliński, budowniczy, zm. w Warszawie. —

— W Księgarni p. T. Paprockiego (Nowy-Swiat) wd. 21 grudnia od godz. 1 do 8 Redakcja *Przeglądu Pedagogicznego* udzielać będzie rodzicom i wychowawcom rad i wskazówek co do wartości książek i pedagogicznych upominków „gwiazdkowych”.

— **Sprostowanie.** W Nr. 50 „Korespondencja z Bobrujska”, mylnie została podpisana *M. B.* Czytać należy *W. Büttner.*

### Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

*P. R. w Ł-cy.* Nie trzeba się zbyt obawiać. Prosimy o adres i polecamy się pamięci.

*P. Skar.* Z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy pańskie gorące pochwały wydanemu przez nas dziełu Bellamy'ego. Zdanie pańskie podziela zresztą czytający ogół. Dzieło to ma powodzenie ogromne.

*P. X. w Paryżu.* Serdeczne dzięki.

*P. St. Biel. w Częst.* Z przysłanych 3 rs. 50 k. zaliczyliśmy 1 rs. 75 k. jako dopłatę za „Głos” na kw. IV r. b., resztę zaś — 1 rs. 75 k. na „Głos” w I-szym kw. roku przyszłego.

*P. Edw. Szott w Moł.* Książki wysłaliśmy. Cena ich: Met. niem. 2 części 2 rs., metoda ang. 75 k., met. francuzka 40 k., przesyłka 40 k. Na „Głos” za kw. I roku przyszłego zaliczono 2 rs. 25 k. Razem 5 rs. 80 k. Otrzymałmy rs. 5, należy się więc nam jeszcze 80 kopiejek.

*P. Bołk. w Sok.* „W r. 2,000” wyczerpane. Drukuje się nowe wydanie. Po wyjściu, prawdopodobnie w końcu b. m., wysłamy panu.

*D-rowi Polh. w Skw.* Z przysłanych nam 4 rubli zaliczyliśmy 1 rs. 75 k. jako dopłatę za „Głos” na kw. III, a 2 rs. 25 k. na IV.

*P. Bol. Kiern. w Sar.* Powieść Bellamy'ego „W roku 2000” wyczerpana; drukuje się nowe wydanie, którego egzemplarz po wyjściu przysyłamy. Nadesłane 5 rubli zaliczyliśmy na „Głos”, mianowicie: jako dopłatę do II kw. 65 k., na III kw. 2 rs. 25 k., resztę zaś 2 rs. 10 k. na kw. IV. Należy się więc nam jeszcze za „Głos” w r. b. 15 k. „W r. 2000” kosztować będzie z przesyłką 75 k. Z patentem szkoły realnej można wstąpić tylko na wolnego słuchacza, jakkolwiek uniwersytet krakowski w wyjątkowych razach przyjmuje i na studentów.

Prowincjonalni czytelnicy *Głosu* są w stanie świadczyć pismu rzetelną przysługę przez nadsyłanie treściwych notatek z miejscowego życia społecznego. Prosimy przytem o zaopatrywanie listów w adresy i podpisy—jedynie dla użytku redakcyi.

Do numeru obecnego dodają się dla prenumeratorów prowincjonalnych prospekty *Wędrownca* i *Encyklopedyi powszechnej*, oraz „Katalog nowych książek” księgarni Paprockiego.

## OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Niecała  
Nr. 42.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu  
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia  
Encyklopedia  
Encyklopedia  
**E. H.**  
Humoru  
Humoru  
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej  
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Wyszedł z druku zeszyt XXXIII.

### DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



EXSICCATOR.

Niszczy grzybek drzewny  
i osusza wilgoć raz na za-  
wsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla  
każdego budującego wyśłam  
franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER  
Królewska Nr. 39.

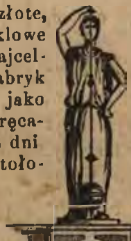
WINA KRYMSKIE I KAUKAZKIE  
UZNAJĄC DOBROCI  
począwszy od 30 kop. jako też analizo-  
wany jako prawdziwy wy-  
rób wina i przez po-  
wagi lekarskie  
zalecany,



Kuracyjny  
poleca Skład Win  
BRACI KEMPNERÓW  
Długa Nr. 5.  
1/4 but. rs. 1,50, 1/2 but. 80 kop.  
1/2 but. rs. 2,50, 1 but. rs. 1,25.

Nowy Świat Nr. 31 (Róg Chmielnej)  
Najtaniej

Zegarki złote,  
srebrne, niklowe  
i stalowe najcel-  
niejszych fabryk  
Genewskich jako  
nowość, nakręca-  
jące się co 8 dni  
Zegary stoło-  
we i ściennie.  
Szkatułki  
samogrające



Biżuterija złote  
i srebrne naj-  
nowszych fason-  
ów, oraz wszel-  
kie reperacje po-  
ręcza się na lat  
dwa.

Zamówienia z  
prowincyi wysyła  
się za za-  
liczką pccz-  
towa.

Cenniki  
franco.



M. POZZI  
W WARSZAWIE



Nr 31 NOWY ŚWIAT ROG CHMIELNEJ Nr 31

DIWANY, wszelkie pokrycia  
meblowe, Koldry,  
Kapy, Chodniki,  
Serwety, najlepiej kupować w głów-  
nym składzie Gietżyńskiego, Mar-  
szałkowska 137.

# ZORZA

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

DLA MIESZCZAN, MNIEJSZYCH POSIADACZY ROLNYCH I WŁOŚCIJAN,

wychodzi pod redakcją

M. Milguja Malinowskiego.

Zorza jest pisana zupełnie zrozumiale dla wszystkich, nawet mało lub wcale nieoświeconych. Za przedmiot do rozpraw, opowiadań, opisów i t. d. służą zawsze bieżące czyny i wypadki w kraju, opowiadania naukowe, opowiadania o gospodarce społecznej, opisy podróży, opowieści z dziejów, wiersze i t. d. Obrazki mają na względzie uobyczajenie, budzenie poczucia piękna lub pomagają w zrozumieniu opisów naukowych, albo z dziejów wyjętych. Gazetę „Zorzy” stanowią wiadomości z zagranicy i z kraju.

Bezpłatny, co tydzień wychodzący przy „Zorzy” dodatek **Poradnik**, obejmuje ze wszelkimi praktycznymi wskazówkami, dotyczące gospodarki rolnej, pasiecznej, sądowniczej, warzywniej. W tymże „Poradniku” podają się praktyczne wskazówki, dotyczące zakładania przez *swojaków sklepików, handłów i prowadzenia tychże.*

o rzemiosłach domowych, jak: kowalstwie, tkactwie, przedalnictwie, farbiarstwie i t. d., wreszcie o zbycie tych wyrobów jest mowa w każdym niemal numerze „Poradnika”. Objętość „Zorzy” wraz z „Poradnikiem” wynosi w zimowe miesiące 20 stronnic a w letnie 16.

Cena Zorzy z Poradnikiem:

w Warszawie rocznie rs. 3, półrocznie rs. 1 kop. 50, ćwierćrocznie k. 75, z przesyłką pocztową rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, ćwierćrocznie rs. 1.

Adres: Redakcja ZORZY, w Warszawie Nowy Świat Nr. 54.

Pince-nes, Okulary, Perspektywki tea-  
tralne, wyłącznie z pierwszorzędných  
fabryk, w najnowszych fasonach, po-  
leca najtaniej optyk

Juljan Dreher

Szpitalna Nr. 6.

Wszelkie reperacje przyjmuje.

6-3

Wysły z druku i są do nabycia we  
wszystkich księgarniach

## KÓŁKA ROLNICZE

W GALICYI

przez

Jadwigę i Szczawińskich Dawidową

(odbitka z Głosu)

Cena 15 kop.